

NOWA Fantastyka

04 (367) 2013 MIESIĘCZNIK MIŁOŚNIKÓW FANTASTYKI CENA 9 ZŁ 99 GR (w tym 8% VAT)



W SPRZEDAŻY
OD 2 KWIETNIA

MARTWE ZŁO

– KULTOWA SERIA
POWRACA

DC COMICS

– ODNOWIONE
UNIWERSUM

CROWDFUNDING

– FANI ROBIĄ
ZRZUTKĘ

NAGRODY CZYTELNIKÓW „NF” 2012

OPOWIADANIA:

WILL MCINTOSH
KLAUS N. FRICK
RADOSŁAW RAK

PRÓSZYŃSKI
MEDIA

© 2013 Home Box Office Inc.
Wszystkie prawa zastrzeżone. HBO® oraz powiązane
kanały i usługi są własnością Home Box Office Inc.

GRA O TRON

TRZECI SEZON
1 KWIETNIA HBO®

ISSN 0867-132X



04

INDEXS 358398

9 770867 132305



Fot. M. Kowalczyk

04

„Gra o Tron” – powracająca właśnie w trzecim sezonie – to nie tylko doskonały serial fantasy, ale przede wszystkim kamyk, który ruszył lawinę i zapoczątkował wielkie zmiany na małym ekranie.

12

Coraz większa popularność crowdfundingu jest świetną wiadomością dla miłośników fantastyki. Dzięki pomocy fanów mogą powstać wartościowe projekty, które nie zostały docenione przez inwestorów.



08

„Martwe zło” znów zagości na ekranach kin, przybierając znajome, lecz jeszcze bardziej przerażające oblicze. Zanim do tego dojdzie, przyjrzyjmy się legendzie, która otacza tę jedną z najciekawszych serii w historii filmowej grozy.

14

Mija półtora roku od inicjatywy „New 52”, mającej zmienić oblicze wydawnictwa DC Comics. Czy kolejny reset uniwersum jest rzeczywiście tak odważny i radykalny, jakim go przedstawiają?

PUBLICYSTYKA

- 2 ZAPOWIEDZI
- 3 AUTOR DO PRZERÓBKI *Jakub Ćwiek*
- 4 SERIALOWA REWOLUCJA *Marcin Zwierchowski*
- 6 KTO JEST KIM W 3. SEZONIE „GRY O TRON” *Jerzy Rzymowski*
- 7 MATKA SMOKÓW Wywiad z *Emilią Clarke*
- 8 POWRÓT DIABELSKICH NIEBOSZCZYKÓW *Przemysław Pieniążek*
- 10 ŻYCIE – ZESTAW DO SAMODZIELNEGO MONTAŻU *Wawrzyniec Podrucki*
- 12 TŁUM FINANSUJE FANTASTYCZNIE *Grzegorz Bryszewski*
- 14 BOGOWIE PO ODNOWIE *Michał Chudoliński*
- 65 RADY DLA PISZĄCYCH, ODC. 16 *Michael J. Sullivan*
- 72 PAKIETY MEMOWE *Rafał Kosik*
- 73 WŚCIEKŁY OPTYMISTA *Peter Watts*
- 77 NAGRODY CZYTELNIKÓW „NF” 2012
- 78 DZIEWCZYNA I TĘCZA *Łukasz Orbitowski*

PROZA POLSKA

- 17 DZIEWCZYNA Z KARTOFLISKA *Radosław Rak*
- 30 NIE WSZYSTKO ZŁOTO, CO SIĘ ŚWIECI *Jacek Wróbel*

PROZA ZAGRANICZNA

- 39 PO DRUGIEJ STRONIE *Will McIntosh*
- 52 W KŁATCE *Klaus N. Frick*

RECENZJE

- 65 KSIĄŻKI 74 FILM 75 DVD 76 KOMIKS 77 AUDIOBOOK



ZRYTY BANIAK

Gdybym miał słabszą głowę, pewnie by mi się w niej kręciło od głupot wypisywanych i wygadywanych na temat fantastyki tu i ówdzie. Jednym, jak pewnemu księdzu, którego mowy uwiecznione na filmikach obiegiły nie tak dawno Polskę – jak w starym dowcipie – wszystko się kojarzy. Oczywiście, kojarzy się źle. A zwłaszcza fantastyka, gra „Diablo” i „Harry Potter”. Że demoniczne są też według księdza pokemony i maskotka Hello Kitty – zamilczę.

Czytelników o prawicowych poglądach proszę o nie zgrzytanie zębami. A ci bardziej na lewo niech się jeszcze nie cieszą. Ludzie o nastawieniu rewolucyjnym, tropiący wszędzie spiski konserwatystów, też potrafią dołożyć do pieca. Najlepszym przykładem pewien blog, reklamujący się jako „feministyczny”, choć – moim zdaniem – „schizofreniczny” pasowałoby lepiej. Autorka postów na tym blogu wzięła się za lustrowanie Tolkiena i „Hobbita”. Efekt? Oskarżenie Tolkiena o „faszyzm”, Petera Jacksona o „totalitaryzm” i nazwanie Bilba Żydem Śródziemia, którego nie chce się mieć u swego boku w trudach walki. Konkretnie niby Thorin nie chciał, ale – mniejsza z tym. Zgroza, drodzy Czytelnicy. Masakra. Pytanie, które muszę w tym miejscu zadać, jest jedno: jak bardzo zryty baniak trzeba mieć, żeby takie koszałki-opalki wypisywać?

Na szczęście: jest fantastyka. Ta, która uczy szacunku i odwagi. Ta, która opowiada się po stronie myślenia, przeciwko bezmyślności. Ta, która inteligentnym śmiechem odpowiada na wszelkie roszczenia polityków i kawiarnianych mędrców. Ta, której nieobce są spory ideologiczne, która jednak zamiast po stronie ideologów woli stanąć po stronie zdrowego rozsądku, humoru i ludzkiej solidarności. Taką fantastykę warto czytać. Zapraszam do lektury.

Jakub Winiarski

OGŁOSZENIE

Wyniki konkursu na opowiadanie niebawem. Prosimy o chwilę cierpliwości. Do końca marca na www.fantastyka.pl zostanie opublikowana lista tekstów, które przeszły wstępną selekcję i będą walczyć o nagrodę główną i wyróżnienia. Werdykt ogłosimy w „NF” 5/2012.

W NASTĘPNYM NUMERZE:

Paweł Majka
Grewolucja
Jeff VanderMeer
Appoggiatura

FANTASTYKA WYDANIE SPECJALNE 2/2013
OD 25 KWIETNIA



Fot. J. Lubas

Trafiłem ostatnio w Internecie na reklamę czekolady, w której wystąpiła Audrey Hepburn. Nie byłoby w tym nic niezwykłego, gdyby nie fakt, że nakręcono ją współcześnie, a Audrey była stuprocentowo cyfrowa. Różnice między prawdziwą aktorką, a symulakrum były minimalne: oczy, sposób mrugania, odrobinę nienaturalne ruchy. Kilka lat temu, w „Terminatorze: Ocaleniu” oglądaliśmy w roli T-800 kulturystę z cyfrowo nałożoną twarzą Arnolda z jego najlepszych lat – zaledwie próbka możliwości, sekundy w słabym oświetleniu i kłębach pary. Poza tym Schwarzenegger żyje, a Hepburn zmarła dwie dekady temu.

Pomyślcie, jaki wpływ może mieć ta technologia na kino. Do spin-offu „Gwiezdnych wojen” nie byłby potrzebny nowy aktor grający Hana Solo – można by wykorzystać wizerunek młodego Harrisona Forda, a on sam podkładałby głos. Reżyserzy mogliby gromadzić obsady marzeń, które nigdy nie miałyby szans spotkać się w świecie rzeczywistym – wyobraźcie sobie nowy czarny kryminał z Humphreym

GWIAZDY Z KOMPUTERA

Bogartem i Angeliną Jolie (próbka czegoś w tym stylu jest komedia „Umarli nie potrzebują pleców” ze Steve'em Martinem). A jak będzie z prawami do wizerunku aktorów? Temat-rzeka...

Pora na zapowiedzi. W kwietniu ukażą się dwie książki Terry'ego Pratchetta: zbiór ponad trzydziestu opowiadań pt. „**Mgnienie ekranu**” oraz rozgrywająca się w wiktoriańskim Londynie powieść „**Spryciarz z Londynu**”. Fanów „Malowanego człowieka” zelektryzuje wiadomość o premierze pierwszej części trzeciego tomu cyklu, „**Wojny w blasku dnia**”. Spodziewajcie się również dalszego ciągu przygód Hadriana i Royce'a, czyli „**Zdradzieckiego planu**” Michaela J. Sullivana. Z okazji premiery trzeciego sezonu serialu „Gra o Tron” wznowiona zostanie „**Nawatnica mieczy**” G.R.R. Martina.

Na ekrany kin powróci „**Martwe zło**” – polecam artykuł Przemka Pieniążka o całej serii, który znajdziecie dalej w numerze. Drugą premierą jest „**Intruz**”, opowieść SF na podstawie powieści Stephenie Meyer. Czekają nas również „**G.I. Joe: Odwet**” – premiera tego filmu opóźniła się aż o dziewięć miesięcy z powodu dokonywanych przeróbek, więc nasuwa się pytanie, jak kiepsko prezentowała się pierwsza wersja i co czeka widzów po korektach.

Wśród nowości komiksowych m.in. „**Batman. Detective Comics. Oblicza śmierci #1**” (zachęcam do lektury artykułu Michała Chudolińskiego o Nowym DC52), trzeci odcinek serii „Thorgal – Louve”, „**Królestwo chaosu**”, a także coś dla fanów fantastyki z lamusa (macie już książkę „Śniąc o potęgę” Agnieszki Haski i Jurka Stachowicza?): album „**Dawny komiks polski #01**” otwierający serię pod redakcją Adama Ruska.

Jerzy Rzymowski

NA KWIECIEŃ POLECAMY:

KSIAŻKI



T. Pratchett
„Mgnienie ekranu”
– zbiór opowiadań brytyjskiego mistrza fantastyki



Michael J. Sullivan
„Zdradziecki plan”
– duet Riynia kontra nowe Imperium

FILM



„Martwe zło”
– remake kultowego horroru Sama Raimiego

KOMIKS



„Oblicza śmierci #1”
– Batman, Joker i nowy złoćzyńca w mieście: Dollmaker

WSZYSTKIE ŚWIATY TERRY'EGO PRATCHETTA

LITERACKA GRATKA NIE TYLKO DLA WIELBICIELI ŚWIATA DYSKU

PONAD TRZYDZIEŚCI OPOWIADEŃ MISTRZA HUMORYSTYCZNEJ FANTASTYKI, OD DEBIUTU, PO HISTORIE Z KULTOWEGO ŚWIATA DYSKU. ZNAJDZIECIE TU POSTACIE I ŚWIATY ZARÓWNO ZNAJOME, JAK I CZEKAJĄCE NA ODKRYCIE; A WSZYSTKO TO PRZESYCONO NIEMOŻLIWYM DO PODROBIENIA POCZUCIEM HUMORU.

www.proszynski.pl



W KSIĘGARNIACH OD 2 KWIECZNIA



SERIALOWA REWOLUCJA

MARCIN ZWIERZCHOWSKI

**„GRA O TRON” – POWRACAJĄCA
WŁAŚNIE W TRZECIM SEZONIE
– TO NIE TYLKO DOSKONAŁY SERIAL
FANTASY, ALE PRZED WSZYSTKIM
KAMYK, KTÓRY RUSZYŁ LAWINĘ
I ZAPOCZĄTKOWAŁ WIELKIE ZMIANY
NA MAŁYM EKRANIE.**

Doskonale pamiętam, co przyszło mi do głowy, gdy wraz z innymi zaproszonymi na pokaz przedpremierowy dziennikarzami siedziałem w kinowym fotelu i oglądałem na dużym ekranie pierwszy odcinek drugiego sezonu „Gry o Tron”. Epizod zatytułowany „Północ pamięta” otwiera scena pojedynku Sandora Clegane’a, zwanego Ogarem, z jakimś rzuconym mu na pożarcie nieszczęśnikiem. Od pierwszych ujęć oczy widza cieszą się pięknymi kostiumami, świetną choreografią walki oraz niesamowicie malowniczymi ujęciami położonego nad brzegiem morza zamku – Królewskiej Przystani. Pamiętam, że pomyślałem sobie wtedy: *Właściwie, czym to się różni od filmu?*

Odpowiedź brzmi: niczym. I wszystkim.

FILMOWY BUDŻET

Jeżeli przyjrzeć się serialowi od strony technicznej, różnic między standardową

kinową produkcją fantastyczną a „Grą o Tron” nie dostrzeżemy. Owszem, w pierwszym sezonie i na początku drugiego twórcy musieli nieźle kombinować, żeby pokazać, a zarazem nie pokazać nam efektownych bitew, na sam koniec czekała nas jednak uczta, a więc starcie z udziałem floty Stannisa. Złośliwi śmiali się także, że jeżeli po pierwszym sezonie serial okaże się sukcesem, być może główni bohaterowie dorobią się więcej niż jednego kostiumu – prawdą jest, że gdzie się dało, tam koszty były cięte. Z drugiej jednak strony producenci nie żałowali dolarów choćby na smoki, które – choć jeszcze małe – prezentują się lepiej, niż w wielu filmach fantasy (tak, to jest ten moment, w którym ożywiłam bolesne wspomnienia związane z „Wiedźminem”). Naprawdę trudno więc nazwać ich sknerami.

Budżet drugiego sezonu wyniósł pięćdziesiąt milionów dolarów. Kręcąc trzecią serię twórcy mogli wydać – jeśli wierzyć

plotkom – o dziesięć milionów więcej. Czyli w sumie 60 milionów. Żebyście mieli porównanie, przypomnijmy, że na przykład „Conan Barbarzyńca” z Jasonem Momoą (Khalem Drogo w „GoT”) kosztował 70 milionów, a z kolei goszczący niedawno w kinach „Hansel i Gretel: Łowcy czarownicy” byli o dziesięć milionów tańsi od produkcji HBO! W porównaniu z kosztującym 180 milionów „Hobbitem: Niezwykłą podróżą” i tańszymi o dziesięć milionów „Królową Śnieżką i Łowcą” wciąż nie są to wielkie pieniądze. Ale jeżeli wziąć pod uwagę fakt, że „300” miało budżet w wysokości 65 milionów dolarów, a mój ukochany „Hellboy” 66 mln, czyli niewiele więcej niż „Gra...” – trudno mówić o różnicy klas.

Na co zaś idzie cała ta kasa? Lokacje, lokacje, lokacje. Policzmy: za Królewską Przystań robi chorwacki Dubrownik, Daenerys zwiedza Maroko i Maltę, Jon Snow Islandię, a w samej Irlandii są trzy



POWRÓT DIABELSKICH NIEBOSZCZYKÓW

PRZEMYSŁAW PIENIAŻEK

„MARTWE ZŁO” ZNÓW ZAGOŚCI NA EKRANACH KIN, PRZYBIERAJĄC ZNAJOME, LECZ JESZCZE BARDZIEJ PRZERAŻAJĄCE OBLCIE. ZANIM DO TEGO DOJDZIE, PRZYZJRZYMY SIĘ LEGENDZIE, KTÓRA OTACZA TĘ JEDNĄ Z NAJCIEKAWSZYCH SERII W HISTORII FILMOWEJ GROZY.



Podobno Samuel Marshall Raimi już w wieku ośmiu lat realizował krótkometrażowe horrory za pomocą Super 8. W 1979 roku założył firmę Renaissance Pictures, której fundamenty tworzyli także aktor Bruce Campbell, producent Rob Tapert oraz publicysta Irvin Shapiro. Mieli oni już na koncie krwawą opowieść o grupie przyjaciół, którzy podczas wypadu do domku położonego w mrocznym zagajniku na własnej skórze przekonali się o potęgze indiańskiej kłatwy. Kosztujące niewiele ponad półtora tysiąca dolarów trzydziestodwuminutowe „W środku lasu” (1978) pełniło funkcję portfolio młodego twórcy, próbującego zainteresować talentem profesjonalną wytwórnię filmową.

Ograniczony budżet dzieła, realizowanego w imię zasady „im krwawiej, tym zabawniej”, niewątpliwie stymulował kreatywność ekipy, wymagając równocześnie ścisłego przestrzegania harmonogramu zdjęć. Dawało się to we znaki odtwórcom głównych ról – Bruce Campbell udawał się na krótką drzemkę w pełnej charakteryzacji, przez co nieusuwany od kilku dni makijaż dosłownie zespolił się z twarzą aktora (na szczęście tymczasowo). Reżyser nie wiedział, jak dystrybuować zrealizowany na taśmie 8 mm obraz, który zresztą do dziś nie doczekał się oficjalnego wydania (głównie z powodu nieuregulowania praw autorskich dotyczących wykorzystanej muzyki). Miał za sobą tylko jeden pokaz, przed nocnym seansem „The Rocky Horror Picture Show”. Cały dochód z oficjalnej „premiery” filmu – dwadzieścia baksów – Raimi przekazał na rzecz amerykańskiego towarzystwa walki z rakiem. Kameralna produkcja zyskała z czasem sporą popularność w ramach „niezależnego” obiegu, pozostawiając jednak młodego twórcę z poczuciem niedosytu.

SZATAŃSKIE WERSETY

W 1981 roku, dysponując budżetem w wysokości dziewięćdziesięciu tysięcy dolarów, Raimi zrealizował „Martwe zło”: ociekający posoką pełnometrażowy remake „W środku lasu”. Dramaturgicznym motorem filmu (w Polsce znanego także jako „Diabelski nieboszczyk” lub „Umarli straszą”) był tym razem starożytny manuskrypt „Naturon Demonto”, w kolejnych częściach przemianowany na Lovecraftiański „Necronomicon”. Jego bluźniercza moc, wyzwolona za pośrednictwem nagranej na taśmie inkantacji, zbiera krwawe żniwo wśród grupki studentów, na własną zgubę przybywających do chaty położonej w leśnej głuszy. Trzymający w napięciu pastisz, będący najbardziej „soczystą” odsłoną przygód Ashleya „Asha” Jamesa Williamsa (niezawodny Bruce Campbell), oferował także widzom zabawę w odgadywanie filmowo-literackich cytatów. Obok czytelnych nawiązań do twórczości Samotnika z Providence, reżyser dał wyraz sympatii wobec dorobku Wesa Cravena. W piwnicy upiornego domu dostrzeżemy plakat z filmu „Wzgórza mają oczy”, natomiast w kolejnym epizodzie Raimi wykorzystał rękawicę Freddy’ego Kruegera jako element dekoracji. Craven nie pozostał dłużny młodszemu koledze, przemycając do „Koszmaru z ulicy Wiązów” fragment „Martwego zła”.

Wielu krytyków uznało film za jedno z najbardziej bezkompromisowych (sic!) dzieł

swoich czasów. Graficzna przemoc oraz groteskowa estetyzacja śmierci jest kluczowym elementem strategii narracyjnej, inspirowanej twórczością komicznego tria The Three Stooges. Podobnie jak słynny tercet, Sam Raimi zaczął korzystać z pomocy „Fake Shemps”, czyli dublerów zastępujących nawet kilku aktorów (którzy akurat wywędrowali z planu) w ramach jednego ujęcia bądź sekwencji. Efekty specjalne opierały się na zmyślnym wykorzystaniu animacji poklatkowej oraz spreparowanych towarów spożywczych (demoniczne wydzieliny to nic innego jak barwiony krem kukurydziany).

Na planie dochodziło do dantejskich scen. Podwieszany na linie lub dosiadający rozpędanego roweru operator gwarantował niecodzienne rozwiązania wizualne, ale także liczne kontuzje z udziałem obsady, skarżące się ponadto na spartańskie warunki oraz na nieznośną manierę reżysera, ponoć fizycznie dręczącego aktorów w celu uzyskania dramatycznego „realizmu”. Zmontowane między innymi przez Joela Coena „Martwe zło” przekonwertowano na format 35 mm, dzięki czemu film mógł trafić na ekrany kin. Interwencja Irvina Shapiro zapewniła dziełu specjalny pokaz na festiwalu w Cannes, zaś entuzjastyczne recenzje Stephena Kinga skłoniły New Line Cinema do dystrybucji tytułu. Spory sukces finansowy filmu sprawił, że Raimi postanowił iść za ciosem i jeszcze raz wystawić charyzmatycznego Ashleya na pastwę demonów.

ŻYCIE – ZESTAW DO SAMODZIELNEGO MONTAŻU

WAWRZYNIEC PODRZUCKI

Jednym z możliwych powodów obojętnego stosunku pisarzy SF do **biologii syntetycznej** jest brak ostrych granic pomiędzy nią a klasyczną biotechnologią. Czym bowiem one się różnią? Tym, czym majsterkowanie w garażu od pracy w biurze projektowo-

gląda na żadną rewolucję koncepcyjną, ale na zwykły postęp w zakresie technik i metod, które od dziesięcioleci służą temu samemu, czyli grzebaniu w genach z natury wziętych. Rzeczywiście, na pierwszy rzut oka tak to może wyglądać.

LEGOLAND

W tradycyjnej bioinżynierii mamy wiele ograniczeń. Po pierwsze, można pracować tylko na materiale dostępnym – ge-

prostszych organizmów, że ciągle stanowią one dla nas zagadkę. Niby rozgryźliśmy kod genetyczny i rozumiemy podstawowe interakcje pomiędzy różnymi podzespołami wewnątrzkomórkowej maszyny, ale gdy przychodzi co do czego, to albo nagle wyskakuje jakiś nieznaną promotor genu, albo nie możemy się dorachować czynników transkrypcyjnych, albo trafiamy na szlak metaboliczny, o którego istnieniu jeszcze do wczoraj nikt pojęcia nie miał. W rzeczy samej, biotechnologia wciąż bardziej przypomina sztukę albo grę losową, niż kontrolowany proces produkcyjny.

Dla bioinżynierów taka sytuacja jest na dłuższą metę nie do zaakceptowania. Dlaczego mają grzebać w tym ewolucyjnym śmietniku? Dlaczego nie zacząć jeszcze raz, ale tym razem porządnie, budując z elementów dokładnie zaprojektowanych i precyzyjnie połączonych w funkcjonalną całość podług zwiększłej, jasnej i przez nich samych napisanej instrukcji? I w tym tkwi różnica pomiędzy biologią „prawdziwą” a „sztuczną”. W chęci złożenia życia na nowo, ale już z własnych klocków. Od czegoś jednak trzeba zacząć.

BAKTERIA ZE SZTUCZNYM NADZIENIEM

Jeśli ktoś nie słyszał albo zdążył zapomnieć o **Craigu Venterze**, to przypomnijmy, że jest to człowiek, który już raz wprowadził świat w osłupienie, sekwencjonując kompletny ludzki genom na dziesięć lat przed terminem, jaki gros ekspertów przyjmowało za realistyczny. Dwa lata temu znów zostaliśmy przezeń zaszokowani informacją o stworzeniu przez jego zespół pierwszego całkowicie sztucznego mikroorganizmu. Z określeniem „całkowicie sztuczny” to jak zwykle lekka dziennikarska przesada, bo w rzeczywistości sztuczna – tj. chemicznie zsyntetyzowana (ale z „praw-

OPRÓCZ TEMATÓW INTENSYWNIE EKSPLOATOWANYCH W SF JEST RÓWNIEŻ TAKI, KTÓREGO FANTASTYKA JESZCZE PRAWIE NIE TKNĘŁA, CHOCIAŻ OD DOBRYCH PARU LAT NĘCI NICZYM DOJRZAŁE JABŁKO. MOŻNA JEDNAK BYĆ PEWNYM, ŻE ZA BIOLOGIĘ SYNTETYCZNĄ – BO O NIEJ MOWA – TWÓRCY RÓWNIEŻ SIĘ WEZMA.

-konstrukcyjnym. Albo przeróbka „Malucha” w samochód dostawczy od budowy całkowicie nowego środka transportu o określonych i z góry zadanych parametrach.

Z wierzchu może się to wydawać zmianą o charakterze li tylko ilościowym, nie jakościowym, tym bardziej, że owa idea nie pojawiła się wczoraj. Nawet sam termin „biologia syntetyczna” jest stary, bo został użyty już w 1912 roku przez francuskiego biologa **Stéphane’a Leduca**. W 1974 roku pojęcie to przypomniał genetyk z Uniwersytetu Wisconsin-Madison – **Wacław Szybalski**. Nic dziwnego zatem, że dla pisarzy, którzy wciąż poszukują oryginalnych źródeł natchnienia, nie jest szczególnie atrakcyjnym coś, co nie wy-

nach, białkach, komórkach występujących w przyrodzie, będących produktem nawarstwionych zdarzeń ewolucyjnych i reakcji chemicznych. To trochę tak, jakbyśmy mieli pod ręką jedynie papier, sklejkę, gumkę-recepturkę, kłębek nici, zwój drutu i tubkę kleju. Ktoś dostatecznie zdolny i kreatywny może z tego zrobić nawet samolot, tyle, że nie turboodrzutowy.

Po drugie, owe zdarzenia ewolucyjne dokonywały się na przestrzeni niewyobrażalnie długiego czasu, skutkując takim wewnętrznym skomplikowaniem nawet naj-





TŁUM FINANSUJE FANTASTYCZNIE

GRZEGORZ BRYSZEWSKI

CORAZ WIĘKSZA POPULARNOŚĆ
CROWDFUNDINGU JEST ŚWIETNĄ
WIADOMOŚCIĄ DLA MIŁOŚNIKÓW
FANTASTYKI. DZIĘKI POMOCY FANÓW
MOGĄ POWSTAĆ NISZOWE, BŁYSKOTLIWE
I WARTOŚCIOWE PROJEKTY, KTÓRE NIE
ZOSTAŁY DOCENIONE PRZEZ INWESTORÓW.



Crowdfunding to inaczej finansowanie przez tłum. Jego zasady są wyjątkowo proste.

Na początku procesu, na stronie serwisu zajmującego się crowdfundingiem, pojawia się szczegółowa zapowiedź danego projektu. Rzecz może dotyczyć np. napisania książki, stworzenia filmu albo uruchomienia produkcji nowatorskiego urządzenia. Twórca deklaruje kwotę, którą chce zbierać i datę zakończenia zbiórki. Osoby, które prześlą pieniądze, mogą także liczyć na nagrody wyznaczone przez autora projektu. Przy założeniu, że tym sposobem zbierane są pieniądze na film fabularny, nagrodą za przekazanie kilku dolarów może być plakat albo imienne podziękowanie od twórców. Ale już internauta, który wpłaci kilka tysięcy dolarów, zostanie, dajmy na to, zaproszony na obiad z reżyserem i znajdzie swoje imię i nazwisko w napisach końcowych. Jeśli projekt zakończy się sukcesem, po odliczeniu prowizji serwisu pieniądze trafią do twórców, którzy mogą zrealizować swoje pomysły. Nie jest to nieprawdopodobne, bo niektóre z projektów realizowanych w ten sposób otrzymały np. trzysta procent zakładanych przez twórców środków. W przypadku fiaska zbiórki, wpłacone kwoty zostają zwrócone darczyńcom.

Osobnym przypadkiem jest **crowdfunding udziałowy**, w którym internauci wspierający projekt stają się automatycznie jego udziałowcami i mogą partycypować w zyskach. W Polsce na takich zasadach powstała platforma **Beesfund**, która pozyskała kwotę 50 tysięcy złotych za 5 procent swoich

akcji. Inicjatywa była pierwszym tego typu projektem w Europie Środkowo-Wschodniej.

Aktualnie na całym świecie działa ponad czterysta pięćdziesiąt platform crowdfundingowych, a w 2011 roku wartość rynku finansowania społecznościowego wyceniono na kwotę 1,5 miliarda dolarów.

UWIERZ W FANA

Twórcy platform finansowania społecznościowego podkreślają, że gdy inwestorzy lub banki nie widzą szans na zwrot poniesionych kosztów w przypadku atrakcyjnych i nietypowych projektów, warto o zdanie zapytać fanów. I przy okazji poprosić ich o sięgnięcie do portfela. Idealnym przykładem, że takie działanie ma sens, jest zbiórka pieniędzy na stworzenie pełnometrażowego animowanego filmu „**Goon**”, na podstawie popularnego komiksu Erica Powella (w Polsce komiks wydano pod nazwą „Zbir”). Akcja rozgrywa się w małej miejscinie w USA, w dobie kryzysu gospodarczego początku XX wieku. Toczy się okrutna wojna między dwoma gangami. Po jednej stronie barykady stoi gang Zombie Priasta, który werbuje żołnierzy reanimując umarłych. Jego wrogiem jest gang mafioza Labrazzo, do którego należy osiłek Goon oraz jego sadystryczny kompan Frankie. Smakowita



fabuła jest przesycona czarnym humorem i opowiedziana w konwencji kryminału z lat 40. ubiegłego wieku. Jak się okazało, Hollywood nie był zainteresowany takim projektem. Nie pomógł nawet fakt, że pod scenariuszem filmu, oprócz twórcy komiksu, podpisał się sam David Fincher.

Próbowaliśmy uświadomić Hollywood ogromny potencjał tkwiący w tym filmie, ale nie jest on sequelem i nie jest wypełniony tańczącymi zwierzakami, więc pomysł został przyjęty za ledwie dobrze – napisali twórcy na platformie **Kickstarter**, gdzie próbowali zebrać od fanów 400 tysięcy dolarów. Fani zareagowali entuzjastycznie i przekazali twórcom łącznie ok. 440 tys., tworząc budżet w 110 %.

FANOWSKIE PRODUKCJE ALBO BRAK BUDŻETU

Na Kickstarterze sukcesem zakończyło się zbieranie pieniędzy na nowy fanowski film w świecie „Star Treka”: „**Star Trek: Renegades**”. Ludzie doceniający ten pomysł przekazali prawie 250 tysięcy dolarów. Powstanie też cykl filmów na bazie odkurzonego serialu telewizyjnego z lat 50. „**Space Command**”. W tym przypadku twórcy potrzebowali 75 tysięcy dolarów, a na ich konto wpłynęło aż 220 tysięcy.

Społeczność umożliwi także dystrybucję najtańszego na świecie filmu SF. Mowa o obrazie

Niecałe sześć godzin (!) zajęło ekipie inXile Entertainment zgromadzenie na Kickstarterze 900 000 dolarów potrzebnych do zrealizowania projektu gry „**Torment: Tides of Numenera**”, spadkobiercy kultowego RPG-a „**Planescape: Torment**”. Pierwszy komunikat Briana Fargo z inXile na wieść o tak błyskawicznym sukcesie zaczynał się słowami: *Chyba sobie jaja robicie!*

BOGOWIE PO ODNOWIE

MICHAŁ CHUDOLIŃSKI

MIJA PÓŁTORA ROKU OD INICJATYWY „NEW 52”, MAJĄCEJ ZMIEŃĆ OBLICZE WYDAWNICTWA DC COMICS. CZY KOLEJNY RESET UNIWERSUM BATMANA I SUPERMANA JEST RZECZYWIŚCIE TAK ODWAŻNY I RADYKALNY, JAKIM GO PRZEDSTAWIAJĄ?

czytelników, w tym młodego pokolenia. W przypadku DC Comics było to widoczne w ilości eventów oraz wydań specjalnych, będących próbą wprowadzenia nowego odbiorcy do niezwykle skomplikowanego świata DC, mającego swoją historię, złożone relacje między poszczególnymi

bohaterami i niezliczoną liczbę wydarzeń z przeszłości, do których często się odwołują. Niestety, efekty takich działań jak „One Year Later”, wydanie pierwszej serii tygodniowej „52”, publikowanie nowych genów postaci w postaci miniserii oraz pojedynczych zeszytów nie dawały należytych rezultatów – sprzedaż komiksów stopniowo malała, a fandom topniał. Przy superbohaterskich seriach pozostawali jedynie starzy fani, znający historie poszczególnych bohaterów od podszewki, tzw. wierni konsumenci marki.

Czara goryczy przelała się w okresie 2007-2009. Był to czas trzeciego i ostatniego „Kryzysu”, czyli epickiej historii mającej na nowo zdefiniować uniwersum DC. Zarówno „Countdown to Final Crisis”, jak i sam „Final Crisis”, okazały się finansowymi porażkami oraz artystycznymi rozczarowaniami. Całej inicjatywie nie pomogły nazwiska Paula Diniego (znakomity scenarzysta, jeden z twórców „Batman: The Animated Series” i gier „Arkham City” i „Arkham Asylum”) oraz Granta Morrisona, sprawujących pieczę nad projektami. „Countdown...” w rękach Diniego cierpiał z powodu niejednorodnych rysunków i niespójnej historii, w której było

za dużo wszystkiego – bohaterów i wątków – przez co można było się pogubić. Szalony Szkot natomiast chciał przedstawić ambitną wizję końca świata, pełną metatekstualnej zabawy. I choć efektownie „zabił” w niej Batmana (w cudzysłowie, bo tak naprawdę Morrison... zabrał go w podróż czasoprzestrzenną rozpoczynającą się w paleolicie, ale to historia na zupełnie inny artykuł), to czytelnicy byli nieubłagani. Czepiali się bełkotliwości i przeintelektualizowania opowieści, w której pojawia się wiele dziwnych, niejasnych sformułowań, których sens najwidoczniej rozumie jedynie sam Morrison. Na dodatek próbowano przywrócić do task concept nieskończonych Ziemi – milionów rzeczywistości, w których pojawiają się te same postacie w innych realiach, z innym statusem społecznym lub też z innym bagażem doświadczeń.

Głosy wiernych czytelników przypominały oburzenie odbiorców sprzed ponad 25 lat, którzy mieli dosyć konceptu multiwersum. Nie rozumieli bowiem, dlaczego mieli się przejmować losom trzech różnych Batmanów lub Wonder Woman, skoro interesowały ich przygody postaci z głównej Ziemi, dla której pozostałe stanowiły jedynie odbicie. O ile wtedy stworzono klasyczną dzisiaj miniserię „Crisis on Infinite Earths” Marva Wolfmana i George’a Pereza (która poddała multiwersum na dekadę w stan zawieszenia, proponując bardziej jednolitą linię chronologiczną wydarzeń DCU), to „Final Crisis” zmusił do refleksji wódcę koncernu Warner Bros., do którego należy DC, oraz samych redaktorów wydawnictwa. W 2009 roku podziękowano Paulowi Levitzowi za zarządzanie DC Comics, a samo wydawnictwo stało się segmentem większej

Już w tym roku wydawnictwo Egmont wprowadzi polskich czytelników w najnowsze przygody Mrocznego Rycerza oraz Człowieka ze Stali, przedstawione w odświeżonych, bardziej przystępnych dla współczesnego czytelnika aranżacjach. Do tej pory wiadomo było, że „Świat Komiksu” przedstawi historie o podboju miasta Gotham przez **Trybunał Sów** Scotta Snydera, **„Detective Comics”** Tony’ego Daniela oraz **„Action Comics”** Granta Morrisona, gdzie przybysz z planety Krypton zamiast trykotu nosi jeansy i podkoszulkę ze swoim emblematem. Pojawi się także **„Justice League”** Geoffa Johnsa i Jima Lee – rysownika m.in. „Batman: Hush” oraz niesławnego „All-Star Batman i Robin, Cudowny Chłopiec” Franka Millera, ochrzczonego mianem „Cholernego Batmana”.

Warto byłoby spojrzeć na genezę całego przedsięwzięcia. Jak często bywa w takich sytuacjach, ta jedna z lepszych decyzji wydawniczych musiała narodzić się przez kryzys – zarówno biznesowy, jak i twórczy.

HISTORYCZNY BALAST

Przemysł komiksowy ostatniej dekady ma problemy z przyciąganiem do siebie nowych

DZIEWCZYNA Z KARTOFLISKA

RADOSŁAW RAK

Niedługo po Wszystkich Świętych Majka wyciurkała się na amen.

To się wydarzyło całkiem nagle. Majka Grapówna krajała rankiem chleb do żuru, świeży i jeszcze ciepły, bo przez całą noc siedział w piecu i izba przeszła jego zapachem.

– Cosik mnie mgli w dołku – jęknęła słabo.

– To se aby siednij. – Rutka, jej matka, nawet nie podniosła wzroku znad obieranych kartofli. W chwilę potem coś łomotnęło o polepę i stara zerwała się, przewracając zydel.

Majka leżała zwinęta w kłębek, z rękami wciśniętymi w łono.

– Córkuś? Córkuś! Jezusie kochany! – Rutka skoczyła ku dziewczynie, poklepała jej bladą jak mąka twarz, przyłożyła policzek do jej ust: Majka oddychała, ale jakoś tak dziwnie, nierówno i płytko.

– Zygą? – zawołała Rutka od progu w wilgotny i mdły poranek. – Sobek? Chłopy! Prędko, no!

Zyga Grapa, jej mąż, drapiąc się w kroku, pierwszy stanął na progu. Zajmował całe drzwi, od framugi do framugi, i czuć go było chlewem.

– Czego się, stara, drzesz?

– Patrz, coś narobił, patrz! – Rutka wskazała grubym paluchem na leżącą Majkę. Zyga zdębiał, otworzył usta i zaraz zamknął, jak ryba. – No co tak, głupi, stoisz? Pomóż mi, dziecko trza ratować!

– No ale co ja zrobić miał? No co? Nie może mi tak córka po wsi z brzuchem chodzować! – sapał Zyga, układając Majkę na ławie, z nogami lekko w górze. Na zielonej spódnicy z wolna wykwiwały czarne plamy. Rutka dyskretnie zerknęła pod spód – halki dziewczyny nasiąkły już krwią i zaczynały śmierdzieć metalicznie, jakby rdzą.

– Teraz to wcale nie będzie chodzować! – Świat przed oczami Rutki rozmywał się od łez. – Majka, Majeczka, no powiedz co!

Ale Majka nic nie mówiła, poruszała tylko ustami, oczy jej dziwnie uciekały w tył głowy i cała była mokra, choć zimna. I to było najgorsze, bo ten chłód ciała Majki miał w sobie coś z grobu. Gdy na progu izby stanął wreszcie Sobek, najstarszy syn Rutki i Zygi, jak zawsze skołtuniony i spozierający ptasio jedynym zdrowym okiem, matka ofuknęła go i wysłała po wodę. Sama jąła wypychać Majkę między uda ręczniki i chusty. A Zyga stał tylko z boku jak zbity pies, miętolił w dłoniach rąbek koszuli i powtarzał:

– Ja nie chciałem, ja ino brzuch jej odjąłem...

– A zawrzyj ty gębę, chleba lepiej podaj i śmietany przynieś z komory! – zaskrzeczała Rutka głosem zmienionym od ścisających gardło łez.

Tak spędziła cały dzień: przeżuwała chleb, mieszała go ze śmietaną i wypychała córce między nogi, co jakiś czas zmieniając namoczone w zimnej wodzie opatrunki. Materiał pił krew po woli, lecz nieustannie i Majka bladła coraz bardziej. Chłopy zaś wrócili do swych spraw – krwotok nie krwotok, ale chudobę trza oporządzić i drwa z lasu nawieźć, nim na dobre zawilgotnieje i grzyb je weźmie.

Dzień toczył się mdły i niewyraźny, choć bardzo nie padało. Rutkę ostatnio w taką pogodę ogarniało jakieś poczucie oddalenia od samej siebie, jakby brodziła po kolana w grząskim i lepkim śnie. Często tak ostatnio miewała, zwłaszcza po obiedzie i dzień w dzień musiała się choćby przez chwilę zdrzemnąć.

Nie zauważyła nawet, jak sen zamknął skrzydła nad jej głową. Gdy się ocknęła, dzień rozpraszał się z wolna i szarówka sunęła od gołego sadu. Majka leżała w brązowych skrzeplinach z wywróconymi oczami. Nie oddychała.

× × ×

Może i by się wszystko inaczej potoczyło, gdyby nie przywleczono do chałupy Zadry.

Zadrę pierwszy wypatrzył był jednooki Sobek. Kończyły się wykopki, wrześnie mgła snuła się od pogórskich dolin strzępiastymi pasmami, a wieczorna pomroka wypelzała leniwie spod ziemi. Sobek z ojcem rozpalili ognisko i piekli w żarze ziemniaki. Zebrali się wkoło ognia wszyscy, cała rodzina Grapów: Zyga i Rutka, i Sobek, i Majka, i mały Tosiek. Tak siedzieli samopłat, bo sąsiadów Grapy nie miały – Zyga zbudował długą chyzę z dala od wsi, na szczycie jednej z gór, pod lasem. Nikt tu się osiedlać nie chciał i szeptali ludzie, że góra ta przeklęta jest z dawien dawna i że było tu ongi pogańskie kościelisko, które co świt anieli rozbierali, a nocami diabli na nowo budowali. Ale Zyga nie wierzył i śmiał się z tych opowieści i tam właśnie za zrabowane w czterdziestym szóstym roku pieniądze kupił był piękny kawał lasu i łąkę na stromym stoku.

Tak więc siedzą wszyscy przy ogniu, płomień odbija się w oczach. Gorzkawa woń dymu i trzaskanie zeschłych badyli mile drażnią nos. Popiół zgrzyta pod zębami, palce i wargi całe czarne, gorąca sytość rozplywa się po całym ciele i Rutce robi się sennie. W ramionach i w grzbiecie czuć cały dzień pracy.

Pora zbierać się do domu, gwiazdy wychynęły na niebo. Zostało tylko jedną kopę ziemniaków na wóz załadować. Grapy nie spieszą się – koń i po ciemku drogę znajdzie. Jednooki Sobek klepie się w kolana, podnosi pierwszy i rusza ku kartoflom.

– Tam ktoś siedzi – mówi nagle.

– E, kto by miał siedzieć? Zwidy masz, boś ślepy – burczy Zyga.

– Jak mówię: siedzi, to siedzi – odwarkuje Sobek.

Rutka widzi, jak staremu drga szczeka, jak chętnie by za taką odzywkę syna przez pysk pięścią dzielił, ale Sobek jest już za stary i mógłby oddać. Bierze więc Zyga płonąca szczapę i przyświeca sobie jak pochodnią. Może to naprawdę jakiś majak, ale przez moment i Rutce wydaje się, że coś siedzi w polu, jakiś kształt rozmyty i dziwnie groźny, a koń rży niespokojnie. Ale zaraz przypomina sobie Rutka o krzakach głogu, które chłopy zapomnieli latem wykarczować i ofukuje się w duchu za strachliwość.

NIE WSZYSTKO ZŁOTO, CO SIĘ ŚWIECI

JACEK WRÓBEL

Mistrz Haxerlin przebudził się z drzemki pełen dobrych myśli. Miarowe skrzypienie kół zawsze działało na niego kojąco. Przetarł oczy, przeciągnął się, aż strzyknęło w kościach i westchnął z rezygnacją, gdy napotkał wyzywające spojrzenie woźnicy.

- Znowu zaczynasz? Zdejmij to, wyglądasz naprawdę głupio.
- Nie zdejmę, panie Haskerlin.

Jona Piętka, a raczej Kordak, bo to za niego miał uchodzić podczas podróży, mocniej ścisnął lejce i na znak sprzeciwu przybrał groźną minę. Grymas mógłby nawet kogoś przestraszyć, gdyby nie wystawał spod słomkowego kapelusza. Mężczyzna naciągnął go prawie pod same oczy, tworząc pierwszy w historii łatwopalny szyszak.

- Haxerlin. Zdejmij, bo...
- Nie zdejmę, pedziałem już. Tak mnie ciężiej poznają.

Farbowany Kordak miał w zwyczaju ułatwiać sobie życie, a do takich ułatwień zaliczało się między innymi szybkie mówienie i okazjonalne skracanie słów mających więcej niż cztery sylaby.

– O to chodzi, że mają cię rozpoznawać. Na tym się wszystko opiera, Jona. Zapomniałeś?

– A nie starczy dopiero w Pękisku, panie Haskerlin? Jeszcze mnie od tamtego boli. – Zasłonił twarz rondem kapelusza, bo właśnie z naprzeciwka nadchodziła grupka podróżnych, rzucających mu ciekawskie spojrzenia. Mimo zabiegów kamuflujących siniaki na policzkach Jony i tak rzucały się w oczy.

To nie moja wina, tłumaczył sobie Mistrz Haxerlin, że nie orientuję się biegle w regionalnym folklorze. Poza tym to tylko mała niedogodność. Jest przecież i pozytywny akcent – Piętka na własnej skórze może przekonać się o bogactwie ludzkich wierzeń i obyczajów. Chciał zobaczyć świat, prawda? Powinien się cieszyć, że darowałem mu nieustanne noszenie Objęć Goryczy.

Kordak, jak na bohatera przystało, cieszył się dużą renomą wśród prostaczków, którzy zawsze chętnie słuchają opowieści o krwi, chwale i podbojach – najlepiej, gdy akcja dzieje się daleko od ich wiosek, a tło fabularne obejmuje obejście nie-lubianych kuzynów z północy. I tak niektórzy nosili w sercach mit Kordaka Potężnego, inni Kordaka Zabójcy, a jeszcze inni Kordaka, Syna Burzy. Pech chciał, że na terenach Przygranicza, po jakich poruszali się w drodze do Pękowiska, wciąż żywa była legenda Kordaka Pokornego.

Podobno kiedyś wojownik zatrzymał się w jednej z karczm Przygranicza, gdzie zamiast chwili wytchnienia znalazł awanturującego się mężczyznę, niejakiego Agnusa. Agnus dzielnie walczył o pozycję najbardziej znanego miejscowego szumowiny, korzystając z całego wachlarza sprawdzonych sposobów: bił żonę, bił żonę sąsiada, pożyczal pieniądze i nie oddawał oraz sypiał nago w przydrożnych rowach. Kordak zastał go,

kiedy nicpoń wyklócał się z karczmarzem o kolejną porcję piwa. „Uspokój się, dobry człowieku, pragnę odpocząć po trudach podróży” – napomniął Agnusa. „Ta? A kto ty jesteś, może wielki Kordak? – zaśmiał się chrapliwie pijaczyna. – Nie będzie mi żaden przybłęda mówił, co mam robić”. Po czym z całej siły uderzył bohatera w twarz. Wojownik przyłożył dłoń do policzka, spojrzał z wyrzutem na mężczyznę i odrzekł spokojnie: „Tak, stoi przed tobą Kordak i na znak, że to ja nim jestem, zachowasz głowę”. Na te słowa Agnusa wnet opuściło upojenie, a gdy dotarło do niego, co zrobił, padł na kolana i dziękował za okazaną łaskę.

Jedna wersja opowieści mówi, że po spotkaniu z Kordakiem pijus odmienił swój marny los, stał się przykładnym obywatelem, a pod koniec żywota wstąpił do Braci Litościwych; druga – że jeszcze tego samego dnia obłąkany kowal przetrącił mu kolana młotem. Prawda zapewne leży pośrodku, jak lubił powtarzać Mistrz Haxerlin.

Tyle historii. Na pamiętkę minionych wydarzeń w Przygraniczu utarł się zwyczaj, że gdy w okolicy znowu przejazdem pojawiał się Kordak, pocziwe dusze witały go symbolicznym policzkiem, by zadośćuczynić tradycji. Patrząc na posiniaczoną twarz Jony, nasuwał się wniosek, że miejscowi określenia „symboliczny” używali zamiennie z „prawy sierpowy”. Podobno rytuał zainicjował sam Kordak, by uzmysłwić ludziom, że nawet wielcy bohaterowie zdolni są wybaczyć zranioną dumę, co świadczyć ma o czystości ich serca i dystansie do małosłownych sporów. Zdaniem Mistrza Haxerlina świadczyło to o niezdrowej fascynacji bólem. Tym bardziej że po serii podobnych incydentów biedny Jona stracił początkowy entuzjazm, jakim kipiał w Blumbergu, kiedy Haxerlin pomachał mu przed oczami nabita sakiewką i przedstawił plan złapania nimfy. Teraz powoli zamieniał się z wesołego kompana w pełnego wyrzutów najemnika.

To dlatego Jona uparł się na przeklęty kapelusz. W nim to niby miał się nie rzucać w oczy, dopóki nie dotrą do Pękowiska. Tyle że powinien się rzucać, tego od niego wymagał Haxerlin. Trochę rozumiał obawy mężczyzny. Jeszcze kilka symbolicznych policzków, a legendarny bohater zyska przydomek Bez-zębny. Inna sprawa, że w przypadku aparycji Jony na niewiele zdawała się jakakolwiek charakteryzacja. Na przykład teraz wyglądał po prostu jak Kordak na wakacjach.

Mistrz Haxerlin dźwignął się z trudem z posłania na tyle wozu i usadowił na koźle, obok powożącego Jony. Rosły mężczyzna był faktycznie uderzająco podobny do opiewanego w pieśniach bohatera. Blisko dwa metry wzrostu, silne, szerokie barki, kruczoczarne włosy opadające aż do ramion. Nawet blizna na lewym policzku prezentowała się niemal identycznie do tej, jaką podziwiać można było na płótnie „Wyzwolenie Północy” w volendurskim Muzeum Pamięci. W przypadku Jony co

PO DRUGIEJ STRONIE

(Other Side)

WILL MCINTOSH

„W formalizmie mechaniki kwantowej nie ma niczego, co wymagałoby, żeby stan świadomości nie dopuszczał jednoczesnej percepcji kota żywego i martwego.”

Roger Penrose¹

1. R. Penrose, *Droga do rzeczywistości. Wyczerpujący przewodnik po prawach rządzących wszechświatem*, przeł. J. Przystawa, Warszawa 2006, Prószyński i S-ka, s.775.

[Gdy nieco niżej tekst dzieli się na dwie kolumny, należy je czytać jednocześnie – nie jest to błąd w druku – przyp. red.]

N a eksperyment Nathan ubrał się trochę zbyt elegancko i teraz czuł się jak krety. Ridley miał na sobie dzinsy oraz T-shirt z obrazkiem schodzącej po schodach sprężynki i wyglądał, jakby właśnie wyciągnął te ciuchy z kosza na brudy. Diane założyła szary dres.

Mówiąc szczerze, nie ubrał się w ten sposób wyłącznie na eksperyment. Zaraz po nim miał spotkać się na kawie z Justine, aby świętować, jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem, lub pograżyć się w żalobie, gdyby doświadczenie się nie udało. Na myśl o zobaczeniu Justine poczuł niepokój w żołądku. Nawet po pięciu miesiącach miał wrażenie, że spotkanie jej było cudowną niespodzianką.

– No dobra, jesteśmy piękni, wszystko wygląda pięknie – odezwał się Ridley, zaczesując długie strąki włosów za ucho i szaleńczo stukając w klawiaturę podłączoną do rozdzielacza.

Nathanowi udało się wydostać z miłosnej zadumy i zająć się pracą, która w tym przypadku polegała na obserwowaniu kolapsu funkcji falowej w jedną rozdzieloną.

Jeśliby im się to udało, mogliby teleportować określoną ilość materii na określoną odległość, jednocześnie obserwując oba kolapsy funkcji falowej. Wszyscy posraliby się, a szczególnie Liu i Casson, te zadufane w sobie gnojki ze Stanforda.

– Dobrze. Gotowi? Jesteśmy gotowi. Czy ktoś chce coś powiedzieć, zanim ogary pójdą w las? – spytał Ridley.

Nathan starł pot z dłoni.

– Daj czadu – rzuciła Diane.

– Czy ktoś ma długopis? Chcę to zapisać dla potomności – powiedział Nathan.

Diane udała, że uderza go w potylicę, po czym skupiła uwagę na pomiarze rozdzielonej pary.

Ridley dał czadu, uruchamiając sekwencję.

Po tym, jak Ridley rozpoczął, nic nie powinno się stać – przynajmniej nic zauważalnego na poziomie makro. Nathan poczuł jednak, jak wibrują mu zęby. Kiedy je zacisnął, poczuł laskotanie w nosie w miarę, jak vibracje przenosiły się na całą czaszkę.

Miał zawroty głowy. Potworne zawroty. Stwierdził, że musi być chory, mieć wylew krwi do mózgu lub coś podobnego, lecz to nie było to, gdyż Diane leżała na podłodze, a czoło Ridleya spoczywało na klawiaturze. Podłoga zachwiała się szaleńczo i Nathan poczuł jak dłońmi dotyka zimnej posadzki. Świat spowiła ciemność, a światło i kolor powróciły dopiero po chwili.

XXXXXXXXXX

XXXXXXXXXX

C oś było z nim kompletnie nie tak, lecz był zbyt zdezorientowany, by dokładnie zrozumieć, co to było. Dysząc, wziął kilka oddechów i spróbował zorientować się w przestrzeni.

Laboratorium wcale się nie zmieniło. Wciąż było zarzucone czasopismami, bebechami urządzeń elektrycznych i torbami po jedzeniu na wynos. Miał jednak wrażenie, że jego spojrzenie na pomieszczenie ma echo. Mocno zacisnął powieki, lecz nic to nie dało. Zdawało mu się, jakby widział dwa ostre, odrobinę różniące się obrazy laboratorium, które zostały na siebie nałożone, lub postawione obok siebie. Były dwa, tyle było wiadomo.

Nathanowi kręciło się w głowie, złapał więc granitowego blatu stołu. Jednak zrobił to i zarazem tak się nie stało. Czuł chłód granitu pod palcami, lecz w pewnym sensie jego ręce wciąż luźno zwisały. Jakby były w dwóch miejscach naraz. Wrażenie było okropne. Wydał z siebie głęboki, wstrząsający jęk.

C oś było z nim kompletnie nie tak, lecz był zbyt zdezorientowany, by dokładnie zrozumieć, co to było. Dysząc, wziął kilka oddechów i spróbował zorientować się w przestrzeni.

Laboratorium wcale się nie zmieniło. Wciąż było zarzucone czasopismami, bebechami urządzeń elektrycznych i torbami po jedzeniu na wynos. Miał jednak wrażenie, że jego spojrzenie na pomieszczenie ma echo. Mocno zacisnął powieki, lecz nic to nie dało. Zdawało mu się, jakby widział dwa ostre, odrobinę różniące się obrazy laboratorium, które zostały na siebie nałożone, lub postawione obok siebie. Były dwa, tyle było wiadomo.

Nathan poczuł, jak sięga, by chwycić się stołu, choć nie poruszył wcale rękoma. Kiedy usłyszał narastające, nieprzyjemne brzęczenie, jakiś elektryczny jęk, zarówno złapał blat, jak i tego nie zrobił. Dźwięk był okropny; znał go, lecz nie był w stanie powiedzieć skąd. Może pochodził z dziecięcych koszmarów? Pokój wypełniło żółte światło,

W KLATCE

(Im Käfig)

KLAUS N. FRICK

Kiedy usłyszałem, że z boku otwiera się luk, podniosłem na krótko wzrok. Jednorodna szarość z powierzchni o wymiarach dwa na dwa metry przekształciła się w niewyraźną strukturę z czerni i bieli, aby za chwilę rozbłysnąć oślepiająco, światłem o wiele bardziej jaskrawszym, niż to, które w zwykłym czasie wypełniało klatkę. To, co nastąpiło potem, już znałem: przez otwór w ścianie niewidzialną siłą wsunięta została do środka i łagodnie osadzona na podłodze naga kobieta. Po czym luk się zamknął.

Leżała przede mną na szarym gruncie, naga, idealnie opalona. Oddychała miarowo i wyglądało na to, że śpi twardym snem. Dałbym jej jakieś dwadzieścia pięć lat. Długie blond włosy otulały jej ramiona, okrągłości jej ciała odpowiadały dosyć dokładnie mojemu ideałowi piękna, twarz z lekko zadartym nosem też przypadła mi do gustu. Byłem jej dosyć ciekawy, ale wpatrzony w nią nie ruszyłem się z miejsca przy ścianie.

W niecałe dwie minuty później przebudziła się. Łagodnie otworzyła powieki, a ja ujrzałem w jej oczach promienisty błękit, za którym chował się lęk. Już wiedziałem, jakiej reakcji mam oczekiwać z jej strony. Rozejrzała się, spostrzegła otaczającą ją szarość, spostrzegła mnie – i przestraszyła się. W tym momencie zdała sobie sprawę, że znajduje się w jednym pomieszczeniu z obcym, nagim mężczyzną.

Poderwała się, patrząc na mnie i cofnęła ku ścianie. Jedną ręką zasłoniła łono, drugą trzymała na piersiach, skrywając je przed moim wzrokiem. Nie drżała, nie zachowywała się histerycznie; to zrobiło na mnie wrażenie. Ale być może zaaplikowano jej po prostu wystarczającą dawkę środków uspokajających, a tego się niestety nie dowiem.

– Kim jesteś? – zapytała po angielsku z ewidentnym amerykańskim akcentem. Odetchnąłem z ulgą; znałem angielski, choć nie perfekcyjnie, ale w tym języku będę mógł o wiele łatwiej nawiązać z nią rozmowę.

Siedziałem, nie ruszałem się z miejsca, nie zmieniłem też pozycji. Mogła dostrzec moje genitalia. I zauważyć, że nie miałem erekcji. Nic dziwnego: przeżyłem już o wiele bardziej erotyczne chwile, niż siedzenie razem z wystraszoną nagą kobietą w klatce z szarego betonu.

– Mam na imię Paul – odparłem powolną angielszczyzną. – Moje nazwisko nie ma tu nic do rzeczy, nie będziemy go potrzebowali. Pochodzę z Niemiec. – Uśmiechnąłem się do niej, przyjaźnie i zachęcająco, najlepiej jak tylko potrafiłem. – Jesteś z Ameryki?

Skinęła głową.

– Nazywam się Jennifer. – Jej głos brzmiał czysto i pewnie. Mimo to wzrokiem błdziła od jednego rogu pomieszczenia do drugiego. – Kim jesteś i czego ode mnie chcesz?

– Jestem całkiem normalnym człowiekiem – zapewniłem, ostrożnie dobierając słowa. – I niczego od ciebie nie chcę.

– Prawda musiała być dozowana małymi porcjami, to akurat wiedziałem. – Wiem tylko, że musimy się trzymać razem. Inaczej nie można.

Powoli zaczęła osuwać się po ścianie, a potem przykucnąwszy odwróciła się w bok. W ten sposób ukazywała mi swój profil, nie wystawiając na widok ani jej piersi, ani sromu. Przygryzła dolną wargę, patrząc przed siebie. Nagle spojrzała na mnie.

– Ale ty nie jesteś jednym z tych zboczeńców? – zapytała bez ogródek.

Potrząsnąłem głową.

– Nie. Jestem człowiekiem, którego też tutaj zamknęto. Sam jestem więźniem.

– Gdzie my w ogóle jesteśmy?

– Nie wiem dokładnie, mogę tylko przypuszczać, co to za miejsce.

– Co niby? – Jej warga znów zadrżała. – Gdzie do diabła się znajdujemy? Jeszcze w Miami, czy już poza miastem?

– O wiele dalej. Nie uwierzyłabyś, gdyby ktoś ci powiedział. – Znowu spróbowałem się uśmiechnąć. – Możesz być pewna, że nie mam zamiaru wyrządzić ci krzywdy. W przeciwnym wypadku dawno bym już to zrobił.

Popatrzyła na mnie krytycznym wzrokiem.

– Więc wstanę teraz. – Podniosła się z przysiadu, ale jedną rękę dalej trzymała na łonie. Drugą zaczęła obmacywać ścianę, o którą opierała się plecami.

Jej dłoń przesuwiała się powoli po szarej powierzchni, w górę i w dół, w prawo i lewo. Wiedziałem dokładnie, co teraz czuje. Ściana nie miała żadnych nierówności, była gładza od najgładziej szklanej powierzchni. Nie biło przy tym od niej chłodem, wydawała się być ciepła, niemal równa temperaturze pokojowej. Jeśli się w nią zapukało, odgłos przypominał uderzenie w beton, można było jednak odnieść wrażenie, że dotyka się w czegoś miękkiego. Jednocześnie nie sposób było jej w jakikolwiek sposób uszkodzić.

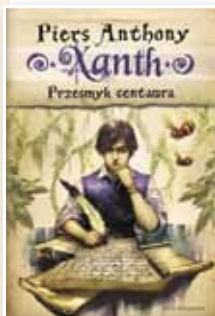
Jennifer szybko się o tym przekonała. Najpierw obmacała ścianę, potem zapukała w nią, a następnie spróbowała paznokciem wydrapać rysę na powierzchni. Nie udało się.

– Przestań! – doradziłem. – To nie ma sensu. Nic nie da się zniszczyć ani zmienić na ścianach ani w podłodze. Od jakiegoś czasu sam dałem sobie z tym spokój.

– Od jakiegoś czasu? – Spojrzała na mnie szeroko otwartymi oczami. – Jak długo już tu jesteś? – Zaczynała pojmywać, że nie stanowią dla niej, przynajmniej w obecnej chwili, żadnego zagrożenia. Opuściła ramiona. – Jak długo? – powtórzyła pytanie.

Skinąłem głową.

– Nie mam pojęcia. Tutaj jest tak monotennie, że dawno straciłem poczucie czasu. Być może parę tygodni, ale do-



WYDAWNICTWO NASZA KSIĘGARNIA XANTH 4. PRZESMYK CENTAURA

JAKI TYTUŁ NOSI OSTATNI TOM CYKLU
„XANTH” WYDANY W POLSCE?

Królewska para wyrusza z misją dyplomatyczną do Przyziemia – krainy, w której nie działa magia, a sama podróż do niej jest niebezpieczna. Na tronie tymczasowo zasiada Dor, a pomagać mu będzie księżniczka Irene, nastolatka tyleż ładnuta, ileż złośliwa. Czy w tak pięknych okolicznościach przyrody coś mogłoby pójść nie tak? Zdecydowanie! Dor musi oczywiście szukać pomocy u Dobrego Czarodzieja Humfrey, a na drodze stanie mu ona... Blyskotliwa, smukła, wysoka, niedostępna i zimna. Szklana góra.

Wśród czytelników, którzy do końca kwietnia nadesłali poprawną odpowiedź na nasz adres pocztowy lub internetowy (konkurs@fantastyka.pl), wyłonimy 10 laureatów, z których każdy otrzyma książkę ufundowaną przez Wydawnictwo Nasza Księgarnia.

Wydawnictwo
NASZA KSIĘGARNIA
www.nasza księgarnia.pl



WYDAWNICTWO FILIA ANGELFALL. OPOWIEŚĆ PENRYN O KOŃCU ŚWIATA

NA ILE KSIĄŻEK JEST PLANOWANA SERIA,
KTÓREJ BOHATERKĄ JEST PENRYN?

Ziemię ogarnęły ciemności. Państwa upadły, szpitale, szkoły i urzędy stoją puste, nie działają komórki. Za dnia na ulicach rządzą brutalne gangi, ale kiedy zapada mrok wszyscy wracają do kryjówek, kryjąc się przed grozą Najeźdźców. Anioły. Niektóre piękne, inne jakby wyjęte z najgorszych koszmarów, a wszystkie nadludzko potężne. Przez wieki uważaliśmy je za swoich stróżów, teraz okazały się agresorami sięgającymi śmierć. Dlaczego zstąpiły na ziemię? Z czyjego rozkazu? Jaki mają plan? Czy ludzie zdołają im się przeciwstawić?

Wśród czytelników, którzy do końca kwietnia nadesłali poprawną odpowiedź na nasz adres pocztowy lub internetowy (konkurs@fantastyka.pl), wyłonimy 10 laureatów, z których każdy otrzyma książkę ufundowaną przez Wydawnictwo Filia.

FILIA
WYDAWNICTWO



WYDAWNICTWO INSIGNIS CRYSIS: ESKALACJA

KTÓRY FELIETONISTA „NOWEJ FANTASTYKI”
NAPISAŁ POWIEŚĆ W CYKLU „CRYSIS”?

CELL, megakorporacja, która rozrosła się do gigantycznych rozmiarów i wymknęła spod kontroli swoich założycieli, stanowi teraz wielonarodowościowy konglomerat, uzurpujący sobie prawo do władania światem. Kilka fal recesji, która doprowadziła wiele firm do bankructwa, a ludzi na skraj ubóstwa, zaowocowało nastaniem ery postkapitalistycznego feudalizmu: CELL oferuje, by zadłużeni obywatele spłacali swe długi, odrabiając je pracą na rzecz korporacji.

Wśród czytelników, którzy do końca kwietnia nadesłali poprawną odpowiedź na nasz adres pocztowy lub internetowy (konkurs@fantastyka.pl), wyłonimy 10 laureatów, z których każdy otrzyma książkę ufundowaną przez Wydawnictwo Insignis.

insignis
media



WYDAWNICTWO GALERIA KSIĄŻKI KRÓLEWSKI WYGNANIEC

JAKI INNY CYKL AUTORKI POWIEŚCI
„KRÓLEWSKI WYGNANIEC” ZOSTAŁ
WYDANY W POLSCE?

Galeria
Książki

Ze wschodu nadciągnęła barbarzyńska horda prowadzona przez wodza Loethara... niczym bezlitosna plaga rozlała się po wszystkich królestwach, siejąc zniszczenie pośród tych, którzy niegdyś z niej kpił.

Do zdobycia pozostała już tylko jedna kraina. Najbogatsze i najpotężniejsze królestwo Koalicji Denova – Penraven. Władcy z rodu Valisarów stają w obliczu pewnej śmierci, tyran Loethar pożąda bowiem tego, czym władają tylko oni: legendarnego Uroku Valisarów, daru przekonywania, któremu nie można się oprzeć.

Wśród czytelników, którzy do końca kwietnia nadesłali poprawną odpowiedź na nasz adres pocztowy lub internetowy (konkurs@fantastyka.pl), wyłonimy 10 laureatów, z których każdy otrzyma książkę ufundowaną przez Wydawnictwo Galeria Książki.

ROZWIĄZANIA KONKURSÓW Z NUMERU 02/2013 „NF”

Wydawnictwo Jaguar Brainman

Autor powieści „Brainman”
wystąpił gościnnie w serialu „Ekipa”.

Ilona Wilk – Pinczów
Monika Tracz-Cebula – Dzierżkowice
Tymoteusz Wronka – Warszawa
Maria Berlińska – Opole
Justyna Ziółkowska – Poznań

Adam Denys – Grzegorzew
Krzysztof Kisiel – Łódź
Jarosław Marczyk – Łódź
Iwona Rudnicka – Łódź
Konrad Paluch – Kraków

Wydawnictwo Prószyński i S-ka Saga o Rubieżach T. I i II

Autorka „Sagi” jest narodowości argentyńskiej.

Ireneusz Milczarek – Włocławek
Sławomir Furgo – Radom
Marcin Podsiadły – Oleśnica
Jerzy Moroz – Bielsk Podlaski
Jacek Lis – Pisz

Wydawnictwo Nasza Księgarnia Świat Czarownic T. II

„Świat Czarownic” wydano w Polsce
po raz pierwszy w 1990 roku.

Agata Orfin-Pawlicha – Zabrze
Waldek Hinc – Kościerzyna
Bartłomiej Babczyński
– Piotrków Trybunalski
Grzegorz Stasiak – Łódź
Piotr Bednarek – Chmielnik
Zbigniew Krysak – Rozgarty
Iwona Szabłowska – Łódź
Jacek Wrona – Marki
Kinga Jabłońska – Żuromin
Barbara Michalewska – Poznań

W DARMOWYM PDF-IE Z FRAGMENTAMI „NF” NA WWW.FANTASTYKA.PL

„Mało ale smacznie”

– Maciej Parowski
o polskiej
fantastyce
filmowej



„Chmurki za miedzą” #4

– Paweł
Deptuch
o drobiowej
apokalipsie



„Kapitan Niezwyciężony kontra odkurzacze”

– wywiad
z Philippem Morą

Inne recenzje
Marcina Orlika



TEGO NIE ZNAJDZIECIE NIGDZIE INDZIEJ!



Prószyński Media Sp. z o.o. ul. Rzymowskiego 28, 02-697 Warszawa

PRENUMERATĘ WYKUPISZ,

WPLACAJĄC ODPOWIEDNIĄ KWOTĘ NA KONTO:

76 1140 1977 0000 2542 6100 1006

LUB PRZEZ STRONĘ INTERNETOWĄ

www.ksiegarnia.proszynski.pl

ZASADY
PRENUMERATY:

- ▶ prenumeratę należy zamawiać z co najmniej miesięcznym wyprzedzeniem od pierwszego zamawianego numeru na okres 12 miesięcy;
- ▶ reklamacje należy zgłaszać w ciągu dwóch miesięcy;
- ▶ koszty manipulacyjne związane z dokonaniem wpłaty w banku lub na pocztę ponosi zamawiający.

MASZ PYTANIA?

▶ **zadzwoń:** (22) 27 81 727

▶ **napisz:** Prószyński Media Sp. z o.o., ul. Rzymowskiego 28, 02-697 Warszawa lub prenumerata@proszynskimedia.pl

PRENUMERATA	„NF”	„FWS”	„NF”+„FWS”
ROCZNA	84,00	32,00	108,00

CENA ROCZNEJ PRENUMERATY „NOWEJ FANASTYKI” – TYLKO 84 ZŁ.
PŁACISZ ZA 8 NUMERÓW, DOSTAJESZ 12!

Uprzejmie informujemy, że dokonując wpłaty, wyrażacie Państwo zgodę na umieszczenie swoich danych osobowych w bazie danych Prószyński Media Sp. z o.o. – wydawcy „Nowej Fantastyki”, z siedzibą w Warszawie, ul. Rzymowskiego 28, oraz na korzystanie z nich i przetwarzanie w celach marketingowych i promocyjnych. Prószyński Media Sp. z o.o. może udostępnić te dane innym podmiotom w celach dotyczących promocji produktów tych podmiotów. Podanie przez Państwa danych jest dobrowolne i przysługuje Państwu prawo dostępu do treści swoich danych oraz ich poprawiania. Prószyński Media Sp. z o.o. zapewnia ochronę danych zgodnie z Ustawą z dnia 29.08.1997 r. o ochronie danych osobowych (tekst jednolity Dz. U. Nr 101 z 2002 r., poz. 926 z późn. zm.).



ORSON SCOTT CARD
AARON JOHNSTON
W PRZEDEDNIU

Sto lat przed wydarzeniami opisanymi w „Grze Endera” ludzie sądzili, że są sami w Galaktyce. Kiedy więc wykrywają w granicach układu szybko poruszający się obiekt, nie wiadomo, co o nim sądzić. A to pierwszy kontakt ludzkości z obcą rasą. W powietrzu wisi pierwsza wojna z Formidami.

C.S. FRIEDMAN
DZIEDZICTWO KRÓLÓW

Finał magicznej trylogii! Ludzkość czeka ostateczna bitwa z Duszożercami – podobnymi do smoków krwiożerczymi stworami, jeszcze do niedawna odgradzonymi od południowych krain magiczną barierą, Gniewem Bogów. Mur jednak upadł i na świat ludzi padła groźba totalnego wyniszczenia. Oto kluczowe starcie Drugiej Ery Królów.

**[W KSIĘGARNIACH
OD 9 KWIETNIA]**

A KTO z nami [NIE] PRZECZYTA...

MICHAEL J. SULLIVAN
ZDRADZIECKI PLAN

Jedna z najlepszych epickich serii fantasy na rynku. Nacjonaliści przegrali, a władcy Nowego Imperium planują uczcić swoje zwycięstwo wyjątkowo krwawą ceremonią. Nie wzięli jednak pod uwagę, że ich plan może się nie spodobać pewnym złodziejom. Royce i Hadrian po raz kolejny uratują swoją ojczyznę.



Fantastyka

ADRES REDAKCJI:

ul. Rzymowskiego 28
02-697 Warszawa

Telefon 22 27 81 792
Faks 22 27 81 775

E-MAIL:

nowafantastyka@fantastyka.pl

WWW.FANTASTYKA.PL

Wydaje Prószyński Media Sp. z o.o.
ul. Rzymowskiego 28,
02-697 Warszawa

Prezes zarządu:
Maciej Makowski

Dział Promocji i Reklamy:
Artur Kaczorek, tel. 22 27 81 717
arturkaczorek@proszynskimedia.pl

Druk i oprawa:
ORTIS Sp. z o.o.,
86-050 Solec Kujawski, ul. Brukselska 8

Kolportaż:

Firma 2M Magdalena i Marek Szwed
ul. Poznańska 484, 05-850 Koprk
tel (22) 245-45-52

REDAKCJA:

Jakub Winiarski
redaktor naczelny
jakubwiniarski@fantastyka.pl

Maciej Parowski
ojciec redaktor
maciejparowski@fantastyka.pl

Michał Cetnarowski

Dział Literatury Polskiej
michalacetnarowski@fantastyka.pl

Marcin Zwierchowski

Dział Literatury Obcej
marcinzwierchowski@fantastyka.pl

Jerzy Rzymowski

Dział Publicystyki
jerzyrzymowski@fantastyka.pl

Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych, w publikowanych tekstach zastrzega sobie prawo do dokonywania zmian i skróto. Za treść reklam nie odpowiada.

Irina Pozniak

Dział Graficzny, tel. 22 27 81 734
irinapozniak@proszynskimedia.pl

STALI WSPÓŁPRACOWNICY:

Wojciech Chmielarz, Jakub Ćwiek, Paweł Deptuch, Arkadiusz Grzegorzak, Agnieszka Haska, Rafał Kosik, Joanna Kulakowska, Kamil Lesiew, Waldemar Miaskiewicz, Rafał Śliwiak, Łukasz Orbitowski, Bartłomiej Paszyk, Przemysław Pieniążek, Piotr Pieńkosz, Jerzy Stachowicz, Michael J. Sullivan, Peter Watts.

Nie dyskryminujemy prawicy ani lewicy. Dyskryminujemy tylko idiotów. Jeżeli czujesz się dyskryminowany, daj znać.



WYOBRAŻENIE O FANTASY

Singer niczym nie zaskakuje, jego film jest niekiedy kiczowaty, zwłaszcza w warstwie wizualnej.

FILM

Hoult) nie może ubrać się w nic innego, jak w bluzę z kapturem. Taka jednak estetyka – rycerze wyglądają jak odziane w plastikowe zbroje lalki Ken, a król nieodmiennie kojarzy się z lordem Farquaadem ze „Shreka”. Olbrzymi zaś nie są przerażający, a raczej obleśni – puszczają baki i zjadają własne gluty.

Poziom humoru przedstawia się raczej niespecjalnie. Do tego otwierająca film animacja wygląda, jak robiona na starym Atari, a 3D tak „olśniewa”, że momentami można zapomnieć, że ogląda się film w trójwymiarze (przez blisko dwie godziny seansu uświadczymy może ze trzy dedykowane tej technice sceny).

Trzeba jednak przyznać, że poza infantylną warstwą wizualną, film nie drażni i można się nawet w nim bawić. Tyle, że wszystko w nim jest średnie, zaledwie poprawne: scenariusz bez dziur, ale i oryginalności, aktorstwo znośne, ale nawet Tucci się nie wyróżnia, grafika (poza wspomnianą animacją) bez większych potknięć, tyle że daleko jej do budzenia zachwyty.

Największym problemem „Jacka...” jest to, że jego historia nie porywa. Może to przez warstwę wizualną, która nie pozwala nam uwierzyć w ten świat i nieustannie przypomina, że to wszystko teatryk, sztuczne dekoracje i szyte przez jakiegoś amatora stroje. A może przez to, że jest bardzo przewidywalna i niezbyt wiele wnosi do znanej wszystkim opowieści. Najpewniej jednak chodzi o to, że Singer nie czuje fantasy. Nie odróżnia fantastyki od bajki.

Marcin Zwierchowski

Nigdy nie byłem wielkim fanem Bryana Singera, a jego najnowszy film raczej tego nie zmienia. Jeżeli porównać jego „X-Menów” do „Pierwszej klasy”, sprawiają wrażenie kiczowatych. Jeżeli to samo zrobić z „Jackiem Pogromcą Olbrzymów” i choćby „Władcą Pierścieni”, czy nawet „Królową Śnieżką i Łowcą” – wniosek jest ten sam. Fakt, ostatni z wymienionych obrazów był kiepski, ale przynajmniej twórcy nie podchodzili do fantastyki jak do bajki dla przetośniętych dzieciaków.

U Singera wszystko musi być cool, nawet parobek Jack (w tej roli drewniany Nicholas

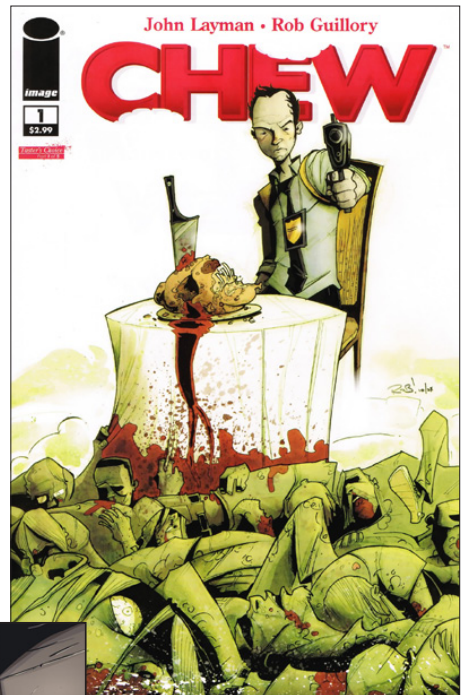


JACK POGROMCA OLBRZYMÓW (Jack the Giant Slayer) Reżyseria: Bran Singer. Scenariusz: Darren Lemke, Christopher McQuarrie, Dan Studney. Zdjęcia: Newton Thomas Sigel. Muzyka: John Ottman. Występują: Nicholas Hoult, Ewan McGregor, Eleanor Tomlinson, Stanley Tucci. USA 2013.

DROBIOWA APOKALIPSA

PAWEŁ DEPTUCH

Zdawać by się mogło, że tematyka kulinarna nijak ma się do wątków związanych z zabójstwami, kosmitami, rządowymi spiskami czy dynamiczną akcją. A jednak.



się kosmiczne ziarna owocu, po ugotowaniu smakującego identycznie jak kurczak. Kurjagoda, szybko staje się obiektem zainteresowań nie tylko FDA, ale też biznesmena próbującego wprowadzić na rynek zmodyfikowane genetycznie żaby, w wyglądzie jak i w smaku przypominające drób, o nazwie Chogs (od chicken frogs). To wszystko to zaledwie promil pomysłów, jakimi obdarza nas scenarzysta John Layman.

Pierwszy numer serii „Chew” zadebiutował w 2009 r. i z miejsca stał się bestsellerem Image Comics (goszczącym m.in. na listach New

Tony Chu jest cybopatą. Co oznacza, że po ugryzieniu np. jabłka, w jego głowie pojawiają się obrazy drzewa, na którym dojrzewało, jakich pestycydów użyto i kiedy zostało zerwane. Może także wziąć kęs hamburgera i zobaczyć cały proces jego powstawania. A jako, że pracuje w policji, swoje niezwykle umiejętności wykorzystuje do rozwiązywania spraw kryminalnych. I nie, nie lubi gdy nazywa się go kanibalem. Tony Chu nie jest jedynym, który posiada zadziwiające zdolności związane z żywnością. Bardzo wąskie grono „dziwaków” – jak zwykło się ich nazywać – uzupełniają saboscriverzy, czyli osoby potrafiące opisywać dania z ogromną precyzją, tak barwnie, że ludzie czytając bądź słuchając ich, czują jakby fizycznie je spożywali; cybolokutorzy potrafiący komunikować się poprzez jedzenie i przekładać poematy czy prozę na język potraw; veresopherzy, którzy im więcej zjedzą tym mądrzejsi się stają; oraz inni z równie zdumiewającymi zdolnościami.

Wszystkim przyszło żyć w czasach drobiowej prohibicji, będącej następstwem pandemii ptasiej grypy, która pochłonęła 23 mln amerykańskich obywateli oraz 116 mln w pozostałych częściach świata. Handel nielegalnym mięsem, czarny rynek jaj i rozkwit podziemnych restauracji to sprawy, którym czoło stawia Tony oraz jego wspomagany bionicznymi wszczepami partner, John Colby. Obaj ekspresowo zostają wcieleni w szeregi Agencji ds. Żywności i Leków (FDA), będącej obecnie najpotężniejszą rządową komórką. Równie szybko okazuje się, że powyższe sprawy to tylko mało istotny czubek góry lodowej, gdyż na światło dzienne wypływają coraz bardziej zadziwiające fakty i zdarzenia. W ich centrum znajduje się malutka, polinezyjska wyspa Yamapalu, gdzie wysiały

York Timesa). Utrzymująca się wysoka sprzedaż i liczne nagrody (Eisner, Harvey, Eagle) potwierdziły tylko, że Layman do spółki z rysownikiem Robem Guillorym są wyśmienitymi kucharzami, potrafiącymi przyrządzić potrawę na długo zapadającą w pamięć. Zasluga tutaj licznych składników, wydawać by się mogło zupełnie do siebie nie pasujących: wypaczony czarny humor, uroczy sarkazm, niecodzienne moce, rządowe spiski, kosmiczne oddziaływania, kryminalne zagadki, wyśmiewanie społecznych obyczajów, gore, kanibalizm, szczypta love story. Danie główne zdaje się być kuchennym koszmarem, ale w rzeczywistości to



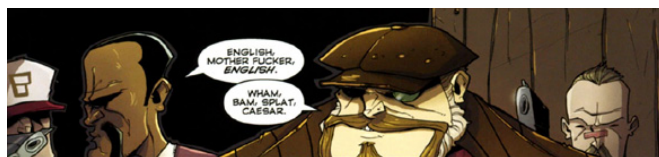
oryginalny, smakowity, choć szalony posiłek. Na przystawkę scenarzysta podaje Poyo – krwiożerczego i zabójczego koguta (który uzyskał już status kultowego), oraz kuriozalne organizacje – Kościół Wyznawców Jajca, czy antyprohibicyjnych radykałów z E.G.G. A jako deser mamy tu niewyobrażalne zagrożenie o kosmicznej skali oraz tajemniczego i wpływowego wampira, z ukrycia wdrażającego swój równie zagadkowy plan. Całość, choć upichcona z przeróżnych gatunków, smakuje wręcz kapitalnie.

„Chew” prócz powyższych pomysłowych chwytów posługuje się niecodzienną narracją, często wykorzystując prologi, epilogi oraz retrospekcje, które w skali całej serii doskonale łączą się w całość. Uzupełnieniem są fantastycznie skrojone, mięsiste, żywe postacie oraz iskrzące relacje między nimi, dodające opowieści niebywałego kolorytu.

Mówiąc o „Chew” nie można pominąć Roba Guillory’ego, który jest równoprawną gwiazdą serii. Jego kreskówkowy, pełen szaleńczego dynamizmu i energii styl wymyka się wszelkim porównaniom. Bogaty w detale drugi plan dostarcza dodatkowych fal śmiechu, a kadry z powykreślaną twarzą Tony’ego konsumującego ludzką padlinę, niejednemu zapadną w pamięć. Kreska Guillory’ego pasuje do opowieści jak białe wino do koziego sera, czyli idealnie.

Uwielbiam ten komiks. Jest niezwykle zabawny, oryginalny, świetnie narysowany i pozostawia po sobie słodki posmak genialności. Tak pięknie podanego, świetnie przyrządzonego i doprawionego posiłku nie powstydziliby się nawet Gordon Ramsey. Szkoda jedynie, że Circle of Confusion porzuciło plany adaptacji opowieści na serial telewizyjny, który mógłby okazać się hitem porównywalnym do „The Walking Dead”. Całe szczęście znajduje się ona dopiero na półmetku (zaplanowana jest na 60 zeszytów), więc przynajmniej jeszcze przez kilka lat, będzie można delektować się jej wybornością.

CHEW vol.1 6. Scenariusz: John Layman, rysunki: Rob Guillory. Image Comics 2009 2013.
Cena: 6x12,99\$



DAN SIMMONS

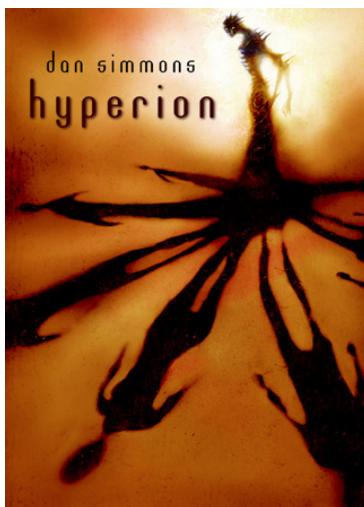
PIELGRZYMUJĄC W SZKATUŁCE, CZYLI „HYPERION” DANA SIMMONSA

Zabijanie czasu (z wzajemnością)

„Hyperion” opowiada o losach siedmiu pątników pielgrzymujących do Grobowców Czasu. Każdy z nich ma swój cel; pielgrzymi idą poprosić mitycznego Chyżwara, istotę zamieszkującą Grobowce, o spełnienie swoich życzeń. Nie wiedzą, czy Władca Bólu zechce to zrobić; ci, których życzeniom nie stanie się zadość, zostaną nanizani przez Chyżwara na Drzewo Bólu, aby tkwić na nim całą wieczność. Wiedząc, że mają przed sobą jeszcze długą drogę, pątnicy postanawiają podzielić się swoimi historiami, aby dowiedzieć się, co zmusiło ich do samobójczej pielgrzymki na planetę Hyperion.

Mozaika opowieści

Kompozycja szkatułkowa, którą autor postanowił wykorzystać, pozwala czytelnikowi zapoznać się z losami ludzkości poprzez kolejne „okna na świat” - opowieści pielgrzymów. Czytelnik pozna sześć historii, które wspólnie składają się na jedną całość, skutecznie budując napięcie, tworząc jeden obraz zagrożenia, z którym muszą się zmierzyć wszyscy pielgrzymi. Tło tych opowieści, niczym kamienie mozaiki, skutecznie tworzy jeden świat, a w zasadzie kilkadziesiąt światów połączonych transponderami materii w jeden – Hegemonię Człowieka.



Przebijający język

Warto wspomnieć o tym, że autor postarał się, by każdy z pielgrzymów posiadał wiarygodny charakter, a co za tym idzie, ich historie różnią się od siebie doborem słów, tempem i sposobem opowiadania. I choć czasem czytelnik może się odbić od rozbudowanych, poetyckich opisów poety czy zniechęcić się liczbą detali podawanych przez żołnierza, dzięki temu zabiegowi stworzone zostały prawdziwie pełnokrwiste postacie. Całkiem skutecznie zostały też oddane animozje między pielgrzymującymi do Władcy Bólu; w końcu nie jest to zgrana grupa, lecz zbieranina przypadkowych osób, które poznają się w drodze na planetę Hyperion dopiero na drzewostatku Heta Masteena – tajemniczego templariusza podróżującego z wielką szkatułą, który jako jedyny nie ma okazji opowiedzieć swojej historii.

To czytać, nie czytać?

„Hyperion” to zaledwie wstęp do tetralogii, która została napisana z prawdziwym rozmachem. Biorąc książkę do ręki, miejcie świadomość, że fabuła wciągnie was jak ruchome piaski. Polecam; naprawdę warto udać się na pielgrzymkę na Hyperiona. Tylko uważajcie na Chyżwara...

ADRZEJ ZIEMIAŃSKI

ZIEMCY I ZIEMIANIE U ZIEMIAŃSKIEGO, CZYLI „POMNIK CESARZOWEJ ACHAI”, TOM 2

Czarownicy z karabinami

I w końcu się stało: flota polska ląduje u wybrzeży cesarstwa Arkach i ratuje resztki korpusu dziesiątkowanego przez potwory z Wielkiego Lasu. Do świata wypełnionego magią trafia przywieziona przez Polaków nowoczesna technologia zza Gór Bogów; do ręki młodej czarownicy z kolei trafia karabin, a wraz z nim poczucie mocy. Ale nie jest to jedyna rzecz, którą Polacy ze sobą przynoszą; wszystko wskazuje na to, że razem z nimi przybyli Ziemcy, choć ciągle nie wiadomo, kto jest Ziemcem, a kto nie. Zagadką pozostaje również, skąd oni pochodzą i czego chcą.

Ku pokrzepieniu narodowej dumy

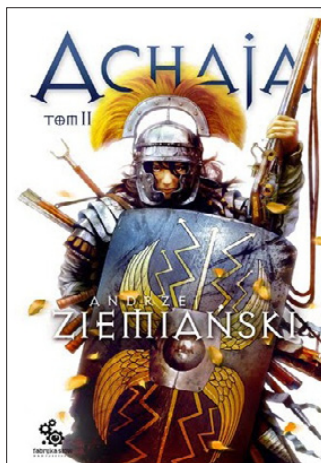
W książce Ziemiańskiego pojawia się też inny aspekt. Aspekt techtanej dumy. Narodowej. Bo oto, proszę państwa, Polacy

dominują na wszystkich frontach, od politycznego po technologiczny. Czytając książkę, znajdujemy się w świecie, w którym każdy musi się liczyć z wolą i opinią Polaków. Nie ukrywam, że bardzo miło się czyta jak wygrywamy lub pomagamy wygrać innym.

Żywią i bronią

Przyczyny i powody wygranych naszych, jak i sojuszników są szczegółowo opisane; Ziemiański często rozwodzi się nad technologicznymi aspektami, które dają nam przewagę w walce. Porównuje nasze karabiny do tych na wyposażeniu żołnierzy Arkach i opisuje, jak wykorzystujemy nasze mocne strony. Co wcale nie znaczy, że jesteśmy w stanie wojny z Cesarstwem, co to, to nie; okazujemy się być Amerykanami Europy, niosącymi pokój i postęp w zamian za interesujące nas rzeczy.

Nieprzewidywalne aspekty przewidywalności
Siłą „Pomnika...” jest to, że doskonale wiemy, co się stanie, lecz nie mamy pojęcia, jak i kiedy to się stanie. Stwarza to pewnego rodzaju napięcie, dzięki któremu czytelnik pozostaje przykuty do książki na długie godziny. Co więcej, znamy rozwiązania problemów technologicznych, nad którymi łamią sobie głowę bohaterowie, ale nie wiemy, czy i jak je rozwiążą. Dlatego czyta się łatwo, prosto i przyjemnie, czerpiąc satysfakcję z własnej wiedzy i oczekując na przewidywalne wydarzenia; nie znaczy to, że kilka razy nie zostałem solidnie zaskoczony.



To czytać, nie czytać?

Mottem tej książki mogłoby być „poczuj się lepiej, czytelniku”. I choć w pierwszym tomie brakowało mi bohaterów z poprzedniej trylogii, w tym nowi protagoniści okazali się ich godnymi następcami, jeśli nie odpowiednikami. Z przyjemnością odnalazłem te same motywy, które tak mi się podobały przy lekturze „Achaj” i z niecierpliwością będę czekał na kolejny tom. Ta książka to solidna porcja literatury rozrywkowej, niewiele wymagającej od czytelnika, za to doskonale bawiącej. Czytać? Czytać.

JANUSZ SZABLICKI

STARONOWOPOLSKA FANTASTYKA NAUKOWA, CZYLI „TRZECIE STADIUM EWOLUCJI” JANUSZA SZABLICKIEGO

Bez przywiązania

Książkę zakupiłem w antykwaracie za zawrotną sumę trzech złotych dziewięćdziesięciu groszy. Nie porwała mnie fabuła opowiadań. Nie przywiązałem się do żadnego z bohaterów stworzonych przez autora. Okładka, jak na wydanie peerelowskie, całkiem, całkiem, ale bez ciepłych emocji. Więc po co ja piszę o takiej książce?

Fantastyka naukowa po staronowopolsku

Odpowiedź jest prosta: moją uwagę przykuł język, jakim posługuje się autor. Otóż trzymałem w ręce jedyny znany mi przykład fantastyki naukowej napisany językiem wyjętym z lat 20. poprzedniego wieku. Książka, w której magnetoryggle występują obok rozchętstanej kurty piżamy, zasługuje na uwagę właśnie z tej racji. Mało tego – język używany przez autora jest językiem wysokim, pisarz nie bał się ani terminów technicznych, jak czasy kondensatorów elektrycznych, ani słownictwa z tzw. „wyższej półki”, jak np. frenetyczne. Cóż mogę więcej powiedzieć?

Neologizmy, neologizmy, starologizmy

Lata siedemdziesiąte to czas, gdy język angielski nie miał jeszcze tak silnego wpływu na polszczyznę jak w dniu dzisiejszym. Brak terminów, luka, którą obecnie wypełniły w języku polskim zapożyczenia, wymuszała użycie neologizmów. Oczywiście, w latach siedemdziesiątych mieliśmy już przecież telefony, ale co powiecie na audyfony? Mieliśmy też helikoptery, a jak podoba się wam autopter? A może coś w rodzaju unowocześnionego motoroweru, zwanego biopedem? Co myślicie o zastąpieniu słowa dyktafon mnemotronem? Ale widać już wpływ języka angielskiego, chociażby w słowie „holoman”. Książka zmusiła mnie do zastanowienia się, jak nazywalibyśmy rzeczy codziennego użytku, takie jak chociażby mikser, gdybyśmy spróbowali słowotwórstwa. Może

poszlibyśmy za przykładem Chorwatów, którzy za odpowiednik naszego „samolotu” mają „zrakoplov” (zrak – powietrze, ploviti – żeglować, pływać) i wyszedł im „powietrzopław”?

Słowa, słowa, słowa

Autor uznaje słowa dziś uznawane za anachronizmy za jak najbardziej normalne i aktualne. Fakt, książka była wydana w 1979 roku, ale naprawdę nie wydaje mi się, by język literacki mógł się tak zmienić w tak krótkim czasie. Notoryczne (choć urocze) używanie słowa „żywo” zamiast „bardzo”, „zydła” w miejscu dzisiejszego „taboretu”, wyrażenia jak „znakomita większość” czy „takie indywiduum” dopełniają obrazu języka użytego w książce. Zagadka na koniec, sam muszę sprawdzić znaczenie tego słowa. Czym jest „stadto”? Kontekst: W stadle Melindy i Jana od dawna nie działo się najlepiej.

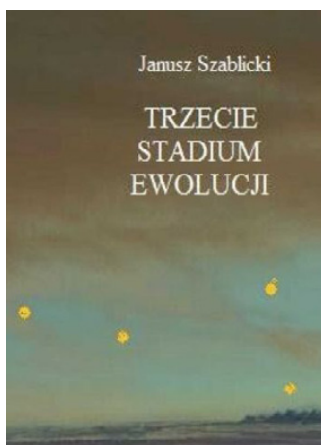
Wielki miks (mieszanka)

Co więc powstanie, gdy wymieszymy te wszystkie aspekty języka, neologizmy, anachronizmy, dosypimy literacki styl i doprawimy naukowymi terminami? Mniej więcej coś takiego:

Obydwa biopedy szczepione ze sobą jakby w śmiertelnych zapasach chyżo przesuwali się w poprzek magistrali, po coraz to odleglejszych pasmach, zagarniając za sobą coraz to nowe pojazdy. (...) Poprawiłem (...) opaskę nawigacyjną (...). Nadal jednak byłem lekko oszołomiony, jazda ma być nad wyraz niepewna (...).

To czytać, nie czytać?

Polecam - koneserom niestandardowego stylu w książkach. Polecam ciekawym. Polecam lingwistom. Dziękuję, dobranoc. Tfu. Podziękuję składam, nocy dobrej życzę.



KAPITAN NIEZWYCIĘŻONY KONTRA ODKURZACZE

WYWIAD Z REŻYSEREM PHILIPPEM MORA

Michał Hernes: Przygotujesz film „Dali 3D” o romansie słynnego surrealisty z Mona Lizą, która wychodzi z obrazu. Zapowiada się ciekawie, chociaż pokazanie Dali’ego to spore wyzwanie po tym, co zaprezentował Adrien Brody w „O północy w Paryżu” Woody’ego Allena.

Philippe Mora: To prawda, wypadł świetnie, ale nie przejmujemy się tym i zamierzamy wszystkich zaskoczyć. Moim zdaniem 3D idealnie nadaje się do opowiedzenia o surrealizmie. To miła odmiana, bo wiele produkcji powstaje w tej technologii bez żadnego powodu. Tymczasem, gdy przypatrzymy się pracom Salvadora Dali, to możemy dostrzec, że to gotowy materiał na 3D. Kiedy zacząłem czytać na jego temat, odkryłem, że Dali był zafascynowany tą technologią już w latach pięćdziesiątych. Namalował też całą serię obrazów, do których oglądania potrzebne są okulary. Z Dalim jest jak z Hamletem – wciela się w niego wielu wybitnych aktorów, na różne sposoby interpretując tę postać. Z mojej strony opowiem o miłości Salvadora do Mona Lizy, która opuszcza dla niego obraz.

MH: Trochę jak w „Purpurowej róży z Kairu”, znów Allen.

PM: On to wziął z Bustera Keatona, Keaton był pierwszy.

MH: Skoro już cofamy się do przeszłości 3D, nie można nie wspomnieć o nazistowskich Niemczech.

PM: Tak, to niesamowite. Odkryłem w Berlinie, że w 1935 roku naziści kręcili w ten sposób filmy, używając tych samych metod, z których korzysta współcześnie Hollywood. Cała koncepcja narodziła się jednak znacznie wcześniej, w 1835 roku za sprawą brytyjskiego naukowca Charlesa Wheatstone’a, który eksperymentował z „cross eye”, czyli oglądaniem różnych rzeczy bez okularów. Prosząc żonę, by także brała w tym udział i obserwowała stworzone przez niego obrazy, przysparzał ją o ogromny ból głowy. Historia 3D jest fascynująca i pracuję nad projektem, który będzie jej poświęcony. To niesamowite, bo ta technologia wyprzedziła 2D. Kiedy jednak przegląda się czasopisma naukowe z tamtych czasów, to rozumie się, dlaczego 3D narodziło się tak wcześnie. Chodziło o zduplikowanie naszych oczu. Pierwszą ideą związana z fotografią były podwójne oczy. 3D odgrywało ważną rolę w czasie II wojny. Szpiegowie używali tej technologii, by robić zdjęcia, chociażby samolotów.

Pamiętajmy też, że zrobienie filmu w 3D wcale nie jest drogie. To Hollywood czyni takie rzeczy drogimi i marnotrawi na nie pieniądze. Zastanówmy się, ile kosztuje przebranie gościa za nietoperza? Większości kasy wydanej na film nie widać na kinowym ekranie. W 3D jedyna różnica sprowadza się do tego, że przeważnie potrzebujemy dwóch kamer zamiast jednej. Osobiście nudzą mnie filmy o superbohaterach. W 3D zacząłem kręcić „Wspólnotę”, ale potem uświadomiłem sobie, że to nie ma sensu. Może kiedyś wypuszczę na rynek jej wersję reżyserską, bo mam sporo niewykorzystanych materiałów.



MH: Mimo znudzenia filmami superbohater-skimi zrobiłeś przeżabawny „Powrót Kapitana Niezwyčajzonego”.

PM: Dokładnie, to satyra na takich bohaterów. Dopóki nie zrealizowałem tego filmu, w popkulturze nie istnieli superbohaterowie, którzy mieli problemy, chociażby psychiczne. Tymczasem mojego bohatera uczyniłem alkoholikiem. Od tamtego czasu każdy heros ma jakiś problem. Jestem dumny, bo rozpocząłem trend, który wciąż trwa. Od dziecka kocham te postacie, ale trzeba było coś w nich zmienić. Uznałem, że alkoholizm okaże się świetnym komicznym samograjem. Sądzę, że początek „Hancocka” to hołd dla Kapitana Niezwyčajzonego.

MH: Opowiedz coś więcej o tym szalonym musicalu.

PM: Pierwotny pomysł wymyślił Steve de Souza, który potem napisał scenariusz między innymi do „Szkłanej pułapki”. W jego koncepcji spodobał mi się właśnie wątek alkoholowy, ale uznałem, że jeśli mamy dokonać dekonstrukcji mitu superbohaterskiego, to najlepiej zrobić to w konwencji musicalowej. Taki warunek postanowiłem producentom. Uznali mnie za wariata, ale zgodzili się. Skontaktowałem się więc z autorem „The Rocky Horror Pictures Show”, Richardem O'Brienem. Spod jego ręki wyszła fantastyczna piosenka „Name Your Poison”, która w całości składa się z różnych drinków.

MH: Fantastycznie wykonał ją w twoim filmie Christopher Lee – zasługuje na owację na stojąco.

PM: Później pracowałem z nim jeszcze przy „Skowyt 2: Twoja siostra jest wilkołakiem”. Gdy zaproponowałem mu rolę w „Powrocie Kapitana Niezwyčajzonego”, nie byłem pewien, czy umie śpiewać. Zapytałem go o to. Odpowiedział: Drogi chłopcze, jestem jednym z najwspanialszych śpiewaków na świecie. Odparłem: Wybacz, nie wiedziałem. Wpadł świetnie, ale nie ma w tym nic dziwnego. Christopher może śpiewać Wagnera i różne partie operowe. Najgorsza rzecz, jaka może spotkać człowieka, to utknąć w samolocie pierwszej klasy z Los Angeles do Londynu z Christopherem i poprosić go, by coś ci zaśpiewał. Wtedy nie przestanie aż do lądowania. Co nie zmienia faktu, że to wspaniały człowiek.

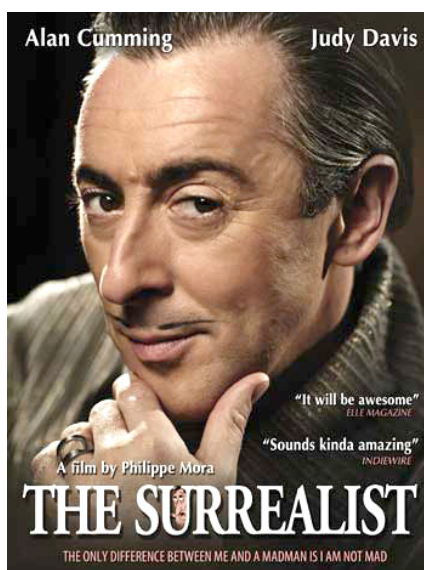
MH: W „Powrocie Kapitana Niezwyčajzonego” kpiliście między innymi z „Gwiezdnych wojen” czy „Indiana Jonesa”.

PM: Tego typu żarty przewijają się przez cały film. Kapitalnie wypadł Alan Arkin, chociaż nie ukrywam, że pierwotnie rozmawiałem o tytułowej roli z Jamesem Coburnem. Wysłałem Jamesowi scenariusz i po jego przeczytaniu podszedł do mnie i powiedział: Słuchaj, nie za bardzo rozumiem, czemu mój bohater jest

atakowany przez odkurzacze. Wyjaśniłem, że to przecież fantazja i parodia. Coburn nie był w stanie tego zrozumieć i choć chciał ze mną pracować, to musiał zrezygnować. Kiedy już kręciliśmy tę scenę i zaatakowały Arkina...

MH: ...jak węże Indiana Jonesa.

PM: Dokładnie! W tym momencie Arkin zapytał mnie, czy może mi zająć chwilkę. Powtórzył



pytanie zadane przez Coburna, ale odparłem, że już jest za późno na zmiany. W ogóle początkowo Arkina dopadły wątpliwości, gdy usłyszał, że ma zagrać herosa. Z moimi mięśniami piwnymi? – pytał. Wytłumaczyłem mu, że do mojej koncepcji nadaje się idealnie.

MH: W filmie pojawia się też piosenka „Boże, pobłogosław Amerykę”.

PM: Nie było łatwo zdobyć do niej prawa. Wydawało mi się, że to rodzaj narodowego hymnu, tymczasem okazało się, że napisał ją wybitny kompozytor Irving Berlin. W tamtym czasie wciąż żył i miał 103 lata,

a wykorzystanie tego utworu wymagało jego osobistej zgody. W końcu zdobyłem numer telefonu mistrza i usłyszałem, że w biurze przebywa we wtorki między godziną dziesiątą a pierwszą. Dowiedziałem się, że jego sekretarka jest równie wiekowa i że muszę mówić do nich powoli. Byłem podenerwowany, bo to w końcu ikona. Irving zapytał się mnie, o czym opowiada mój film. Pomyślałem sobie, że mam przechlapane, bo jak mu o tym powiem, to nigdy się nie zgodzi. Postanowiłem jednak na stuprocentową szczerość. Panie Berlin, to opowieść o superbohaterze-alkoholiku, który trzeźwieje, gdy słyszy „Boże, błogosław Amerykę” i daje mu to siłę do walki z faszyzmem. Po drugiej stronie słuchawki zapadła długa cisza. W końcu odpowiedział: Panie Mora, niech pan przekaże dziesięć tysięcy dolarów amerykańskim skautom. Zrobiłem to i otrzymałem prawa. Teraz za każdym razem gdy widzę amerykańskich skautów, myślę sobie: Finansuję tych gówniarzy.

MH: Zrealizował pan też dramat SF „Wspólnota” z Christopherem Walkenem w roli głównej.

PM: To był pierwszy tak duży film o porwaniach przez kosmitów. Powstał on na podstawie autobiograficznej książki Whitleya Striebera, który szczerze wierzył, że to mu się naprawdę wydarzyło. Nie wiem, co mam o tym myśleć, ale punkt widzenia tego pisarza czyni tę produkcję wyjątkową. Jego książka znalazła się na liście bestsellerów „Timesa” w kategorii „non fiction”. W tej historii najbardziej niesamowita jest sonda analna. Pytałem Whitleya, czy na pewno chce, bym umieścił to w filmie. Tłumaczyłem, że ludzie mogą to potraktować jako żart i nabijać się z niego do końca jego życia. Ostatecznie sonda stała się jedną z części amerykańskiej popkultury. W jednym z odcinków „Miasteczka South Park” zaaplikowano ją Cartmanowi. To cudowne. Ale tak całkiem serio, to wciąż nie wiemy, co się Whitleyowi naprawdę przydarzyło. Innym ludziom też. To fascynujący temat, traktowany bardzo poważnie przez amerykański rząd. Bo jeśli to robią kosmici, to coś jest nie tak. A jeżeli to nie oni, to sprawa jest jeszcze poważniejsza. Gdy jednak zaglądam na YouTube i obserwuję relację porwanych, to widzę, że większość z nich to ewidentne oszustwa. Ale zawsze pojawi się jedno czy dwa nagrania, które mogą cię zaintrygować. Może kiedyś poznamy odpowiedzi na dręczące nas zagadnienia.

MH: O co zapytałbyś kosmitów, gdyby cię porwali?

PM: W pierwszej kolejności stanąłbym tyłkiem przy ścianie. A tak serio, to zadałeś bardzo ciekawe pytanie. Na początku zapytałbym ich, czemu się jeszcze nie ujawnili. Ogromnie intryguje mnie też sprawa obcych z czasów antycznych. W każdej kulturze można znaleźć przedstawiające ich rysunki. Rodzi to pytanie, dlaczego nazywamy ich bogami. ■

MAŁO, ALE SMACZNIE

(7)

KRÓTKO O POLSKIEJ FANTASTYCE FILMOWEJ

MACIEJ PAROWSKI



Sentymentalna feta z okazji 31-lecia premiery „**Rękopisu znalezionego w Saragossie**” Wojciecha Hasa, urządzona w styczniu '96 w Krakowie, przypominała, że także w dziedzinie filmowej fantastyki polska kinematografia ma osiągnięcia wybitne, z niczym nieporównywalne. Rozmach powieści Potockiego, a także scenariusza, na którym go oparto, szalona scenografia Skarżyńskich, niesamowita obsada – wszystko było w tym filmie jakby nadmiarowe i super egzotyczne jak na polskie możliwości. Przecież dopiero po „**Rękopisie...**” ruszyła moda czy koniunktura na rodzime historyczne giganty – Wajdy (zdjęcia do jego „**Popiołów**” kręcono w dekoracjach „**Rękopisu...**”), Kawalerowicza („**Faraon**”), Hoffmana („**Pan Wołodyjowski**”, „**Potop**”). Przedtem byli tylko „**Krzyżacy**” Forda.

Spełniał „**Rękopis...**” marzenia o fantastyce czystej, wykwintej, o grze z czasem, kabałą i magią. Budował krainę oświeceniowego, szkatułkowego horroru, w którym oczekiwania i wyobrażenia widza wpadają co chwila w zaskakujące pułapki. Obsada była niesamowita (Zbyszek Cybulski, Beata Tyszkiewicz, Bogumił Kobiela, Gustaw Holoubek, Pola Raksa, Iga Cembrzyńska, Zdzisław Maklakiewicz, Franciszek Pieczka, Jan Machulski, Bogusław Sochnacki, Bogusz Bilewski, Barbara Kraftówna, Krzysztof Litwin, Witold Pyrkosz, Adam Pawlikowski, August Kowalczyk, Ludwik Benoit, Andrzej Kozak, Tomasz Zaliwski, Józef Pieracki, Gustaw Lutkiewicz, Bogdan Baer, Jan Kociniak, Wiesław Gołas, Henryk Hunko, Stanisław Igar, Feliks Chmurkowski, Ryszard Renczowski). Takiej obsady nie ma żaden inny polski film, nawet w serialu o Klossie nie zagrało tyle gwiazd. Nie na darmo zakochał się w tym dziele taki mistrz i wielbiciel, kolekcjoner i kustosz kina, jak Martin Scorsese.

Wyszło dzieło doskonale piękne, bo doskonale bezinteresowne, nie całkiem polskie nawet, bo „hiszpańsko-francuskie”, ale rękopis znajdują Polacy wojujący przy Napoleonie, no i zupełnie niemartyrologiczne. Na tle poprzednich i przyszłych dokonań kina wodzowego wielokrotnie na propagandowe bądź patriotyczne pokuszenie, imponuje „**Rękopis...**” artystowską wręcz czystością i politycznym niepokalaniami. I w tym sensie też znaczy – fantastyka znaczy zawsze – tęsknotę za wolnością, gotowość do ucieczki w marzenia; znużenie sloganami i rutyną codzienności. Wówczas w 1964 roku chodziło o tak zwaną małą stabilizację, co oznaczało stagnację i dużą beznadziejność.

Lata osiemdziesiąte – zupełnie inne czasy, inne tęsknoty, slogany, inny stan świadomości widza. Ponura duchowo sytuacja duchowa

po buncie, po paru buntach, niestety zdławionych. Część związanych z tym emocji wyraziło kino moralnego niepokoju, część „**Człowiek z marmuru**” Wajdy (1977) i „**Człowiek z żelaza**” (1981). Filmy wówczas obecne tylko w momentach premiery, a i wtedy trudno dostępne, później dekadą bez mała nieobecne tak na dużych, jak na małych ekranach.

Więc zjawia się fantastyka zajęta tym wszystkim – szczególnie typ słodkawego i gorzkiego duchowego lekarstwa. Słodczą będzie oczywiście Machulski z „**Seksmisją**” i tuż przy końcu dekady „**Kingsajzem**” to „amerykański” fantastyczny kabaret, w którym antyfeminizm oznacza antykomunizm, a miniaturyzacja bohaterów jest hulaśliwą metaforą tego, co wyprawia z nami ludowe państwo w dziedzinie ekonomii i ducha.

A lekarstwo gorzkie? Szulkin, oczywiście. Zaczęło się „**Golemem**” jeszcze w latach siedemdziesiątych. Ale potem, po Sierpniu i Grudniu to w „**Wojnie światów**” w „**O-bi, o-ba – koniec cywilizacji**”, w „**Ga-ga, chwała bohaterom**” znajdziemy mizantropijny wizerunek społeczeństwa poddanego totalitarnej opresji. Gorzkie lekarstwo? Zabawne, ale Szulkin opowiadał o kruchości, małości, podłości jednostek; publiczność czytała w jego filmach przede wszystkim zapis perfidii systemów. Szulkin dawał turpistyczne wizerunki sytuacji ponurych, beznadziejnych – publiczność czerpała z jego filmów coś w rodzaju przewrotnego pokrzepienia.

Machulski i Szulkin: najbardziej wyrazisty rozdział filmowej fantastyki polskiej. Kino podobne do światowego, ciężące ku formule klasycznej science fiction, ale niosące oczywisty i wyraźny ciężar polskiego doświadczenia i powinności. Dzięki fantastycznej konwencji język tego kina był rozumiany poza granicami Polski, okazał się uniwersalny, a jego treści wydały się cenzorom możliwe do przepuszczenia.

Fantastyka filmowa może być mową (Machulski, Szulkin), estetycznym marzeniem (Has); często jest zaledwie nieudolnie i naśladowniczo wdrażanym gatunkowym stereotypem.

Marek Piestrak, dyżurny zdawało się w latach siedemdziesiątych rodzimy fachman od fantastyki, podchodził do klasycznej prozy Stanisława Lema („**Test pilota Pirxa**”) do horroru („**Wilczyca**”) – nie wyszło. Lem złościł się na filmowego Pirxa, nawiąssem mówiąc złościł się na wszystkich włącznie z Andrzejem Tarkowskim (autorem filmowego „**Solaris**” i „**Stalkera**” według Strugackich). Na „**Wilczycę**” złościła się widownia.

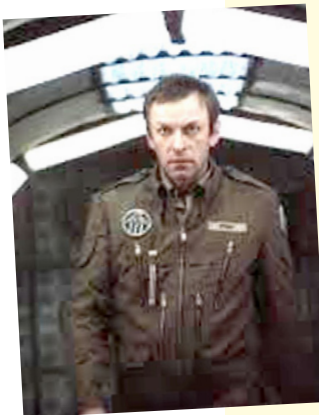
Ale „Solaris” jednak się bronił, bo chociaż Tarkowski zgubił większość literackich i naukowych mądrości, jakie były w powieści Lema, to przecież tchnął w ten film magię i egzotykę i metafizykę, i cierpienie à la Dostojewski. Piestrak mistyki nawet nie próbował, bo tego w sobie nie miał, a i technika jakiej użył, mimo pomocy kinematografii radzieckiej, nie umywała się do tej z „Gwiezdnych wojen” i „Obcego”. Musiał polec.



Fantastyka jako ćwiczenie estetyczne, igraszka, zabawa – próba pod tytułem, bo ja wiem?: mistrz się bawi.

„**Lokis**” Majewskiego, ciekawy, bardzo wyestetyzowany horror, zimny, interesujący, irytujący. *Strzeż się ciąży / Lokis krąży* – pokpiwał Bywalec/Głowiacki tuż po premierze jeszcze w 1970 roku.

„**Hydrozagadka**” Andrzeja Kondratiuka, para-komiksowa fantastyka z praktycznie nieznaną w Polsce wówczas, w połowie lat siedemdziesiątych, figurą Supermana. Grał go super-pozytywniak polskiego kina Jan Nowak. „Hydrozagadka” kino szydercze, błazeńskie, z wymachem w stronę, kto wie, może nawet „Rejsu”. Wszak zdjęcia kręcono na Zalewie Zegrzyńskim, w obsadzie Maklakiewicz z Romanem Kłosowskim. Ten film ma swoją zwariowaną kultową publiczność, która go dobrze wspomina, choćby za pomysł że Zachód będzie w Polsce kradł wodę (bo nic innego nie było do ukradzenia).



„**Przekładaniec**” Wajdy, znów według Lema, z komiczną rolą Kobieli jako szczególnego mieszańca stworzonego przez medycynę. W delikwencie wydobytym z rozbitego wozu i pospieszenie pozszywanym, znalazły się fragmenty nie tylko przypadkowych kibiców rajdu, ale i zaplątanego tam psa.



Z filmu Lem był już zadowolony. Po tym sukcesie mógł zrodzić się projekt wajdowskiego „Kongresu futurologicznego”. Projekt rozbił się o brak funduszy. Podobnie było z zamierzonymi ekranizacjami „Powrotu z gwiazd”, „Pamiętnika znalezionego w wannie”... „Rozczarowanie filmowe” – znaczący tytuł podrozdziału w „Rozmowach ze Stanisławem Lemem” Beresia. Tam znajdziecie Państwo więcej szczegółów.



Mało, ale smacznie? Tak, jeśli myślimy o Hasie, Machulskim, Szulkinie. Były to przypadki fantastyki znaczącej, myślącej, oryginalnej. Lokalnej ale zarazem uniwersalnej, wprowadzającej do światowej wyobraźni polskie tony.

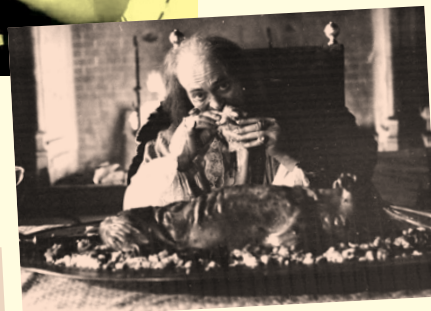


Poza tymi trzema przypadkami filmowa fantastyka powstawała u nas jakby cudem, na zasadzie kaprysu. Bardzo dobry był, nie doceniony sopocki horror „**Medium**” Jacka Koprowicza, mieszający poetykę Poea z rozpędzającym się hitleryzmem w znakomitej obsadzie: Stuhr, Zelnik, Szapołowska. A wszystko to filmowane w realiach międzywojennego Sopotu. „**Alchemika**” tego reżysera, bodaj w ogóle nie odważono się pokazać. Podobnie wygląda przypadek Gradowskiego, który w latach osiemdziesiątych zabawiał nas przyzwoitą fantastyką dla dzieci o panu Kleksie ale niedługo potem zrobił „**Pana Twardowskiego**”, którego nikt nie obejrzał.

Więc sporo, ale gorzko? Tak też chyba nie można powiedzieć. Filmów fantastycznych było u nas mało,



w książkach, opowiadaniach i rodzimych pismach tego gatunku możemy przebierać dopiero od lat kilkunastu. Wśród znaczących a zarzuconych projektów filmowych znajdują się ekranizacje „Robota” i „Według Łotra” – dwu metafizycznych powieści zmarłego niedawno Adama Wiśniewskiego Snerga. Kiedyś książki te prawdziwie elektryzowały polską publiczność, dziś bodaj ich czas jako punktu wyjścia do filmowego obrazu (po „Blade Runnerze”, po „Terminatorze”) chyba przeminął.



Dobra fantastyka filmowa i literacka powstaje w momentach duchowych napięć – bierze w siebie ich energię, emocję i znaczenie. Pewnie dopiero powstają książki, opowiadania, z których wykluje się jutrzejšia nowa mowa wyobraźni, dziwne obrazy, w których rozpoznamy swoje psychozy i koszmary.

Warto w tym kontekście pamiętać także o przeszłości. Za nami pozostaje przecież potencjalnie arcydzieło, film prekursorski, a przetrącony, zniszczony polityczną decyzją – „**Na srebrnym globie**” Andrzeja Żuławskiego na podstawie wielkiej powieści Jerzego Żuławskiego. Z zachowanych (i pokazywanych) materiałów, z wersji ostatecznej przyrządzonej w końcu i komentowanej spoza kadru przez reżysera wynika, że dzieło to współczesne „Gwiezdnym wojnom” Lucasa, mogło stanowić dla nich swoistą estetyczną i intelektualną alternatywę. Przeciwwagę? Że mogło się stać punktem wyjścia do fascynujących artystycznych polemik, bądź otwarciem na zupełnie inne narracyjne i fabularne możliwości. Później miałem wrażenie, że drugi „Mad Max” miał w sobie trochę tej magii, że w tę stronę mogło pójść fantastyczne kino po Żuławskim. Także poszukiwania religijne, które reżyser powtarza w tym filmie za swym wielkim przodkiem, ożyły dziesięć lat później w polskiej fantastyce literackiej.

Żuławski po unicestwieniu „Na srebrnym globie” przez zarządców kinematografii PRL wyjechał z Polski i nakręcił w Paryżu (mówiąc ściśle: w Berlinie Zachodnim, tuż przy murze) szalony, wariacki film „**Opętanie**” z Isabelle Adjani i Samem Neillem w rolach głównych wraz z towarzyszącym im bezimiennym potworem. Ten alien Żuławskiego (w tym samym czasie Scott tworzył swoją koronną postać) kryje się w łazience, a nie w kosmosie, ale podobnie zżera mężczyzn i kopuluje z ludzką samicą. Manuela Gretkowska prokurując Żuławskiemu scenariusz „Szamanki” bez wątpienia miała to „Opętanie” w pamięci.

Ale z pogłębioną recepcją „Na srebrnym globie” nie wyszło; to się rozmazało, spóźniło i nigdy już nie wskoczy w swą kulturową szufladkę, w swój czas. Nie odegra możliwej roli. Rękopisy – jak chce Bułhakow – nie płoną, ale fantastyczny celuloid najczęściej starzeje się szybko. Chyba, że chodzi o celuloid z zapisanym na nim „Rękopisem znalezionym w Saragossie”. Ten film cudownie wymyka się czasowi, może także dlatego, że opowiada właśnie o zawiłościach i zawirowaniach czasu.

Maciej Parowski

P.S. Trzeba będzie jeszcze pogadać o innej fantastyce. O kręconych po 1990 roku filmach takich jak „Łowca”, „Wiedźmin”, „Przyjaciel wesołego diabła”, „Kolysanka” „Ile waży koń trojański”... To też fantastyka, a w przypadku obrazów jak „Katedra” Bagińskiego/Dukaja i zupełnie niefetowana w fanowskim środowisku „Sala samobójców” Jana Komasy, chodzi o fantastykę właściwie wybitną. No i trzeba się będzie zająć niespełnionymi projektami kina wg wielkiej krajowej prozy. Tu na początku listy pozostaje „Limes inferior” Janusza A. Zajdla; wciąż trwa wokół tej książki pewien ruch czy wir, z którego może wyłoni się w końcu coś konkretnego. No i Dukaj, oczywiście on także, taki „Łódź” na ekranie, wyobrażacie to sobie Państwo. Ale mnie starczyłaby na pierwszy ogień „Złota Galera”, którą mam za tekst bardziej filmowy od „Ruchu generała”.

